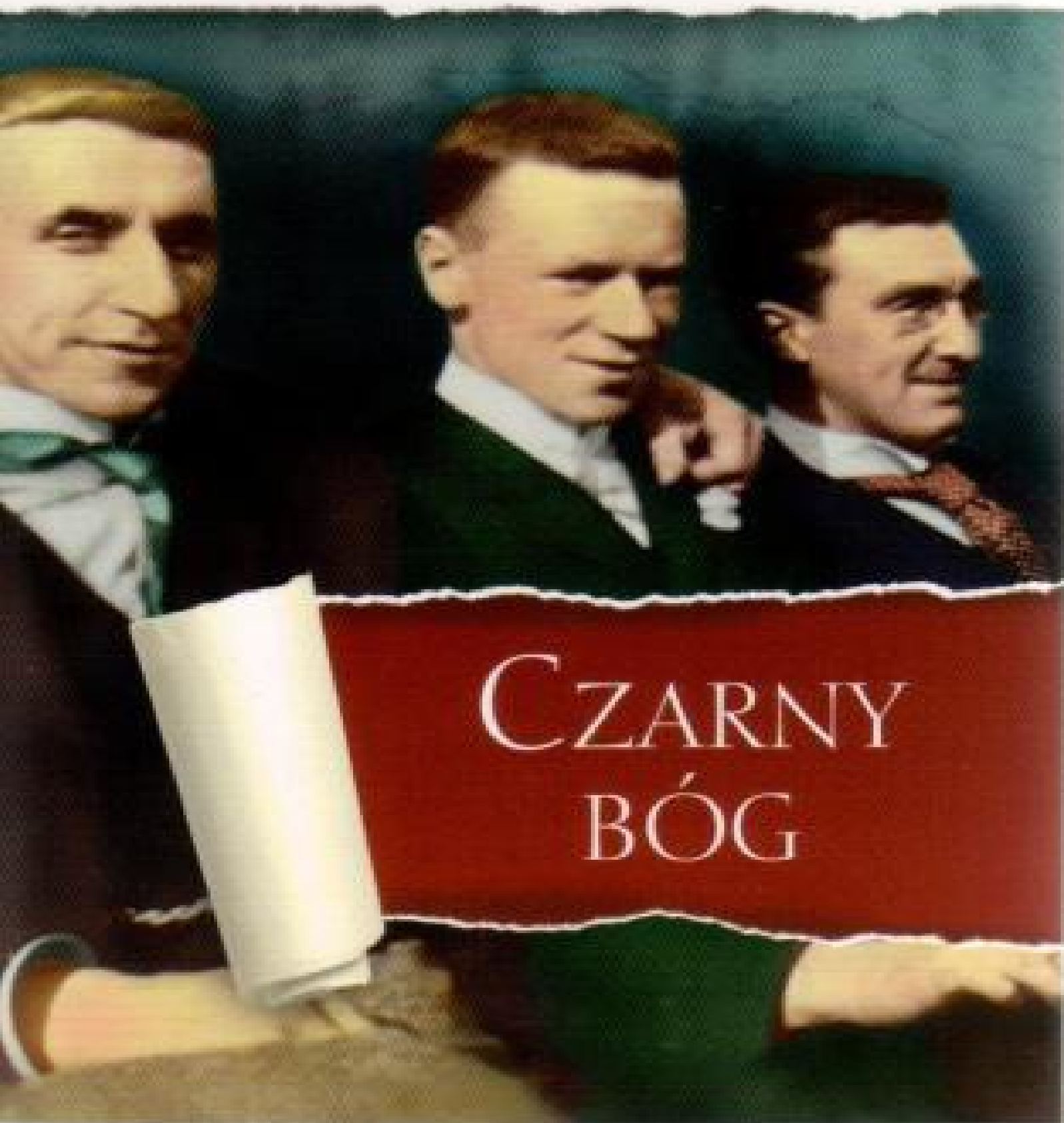


MARIA
RODZIEWICZÓWNA

Klasyka Literatury Kobiecej tom 10



CZARNY BÓG

1

I

NOWY ROK

Szedł ktoś szybko po schodach — szedł i gwizdał.

Śnieg, nazbierany na ulicy, pokrywał jego czapkę i ramiona, ręce wetknął w kieszenie, głowę wtulił w wytarty barankowy kołnierz i spieszył widocznie. Minął wszystkie porządne drzwi i piętra, wgramolił się na strych, w egipskich ciemnościach znalazł jakieś drzwi i wszedł.

Powitał go gromadny okrzyk.

Izba więcej zawierała dymu niż powietrza i ciepła.

Nieład równał się chyba z brudem, a sprzęty nieliczne nie miały ani jednego całego egzemplarza. Jedna lampka dogorywała na oknie, więcej dając swędu niż blasku, naprzeciw niej w żelaznym piecyku żarzyły się węgle.

Trzech mężczyzn już się znajdowało w izbie. Jeden siedział na stole i śpiewał, drugi leżał na łóżku i palił

papierosa, trzeci klęczał przed piecykiem i grzał ręce, zapatrzony w błękitnawe smugi żaru.

— Nowy Rok idzie! Uha! — wrzasnął na widok wchodzącego ten, co siedział na stole.

— Chwała mu i cześć! Skąd macie ogień w piecu?

— Z krzesła. A ty przyniosłeś cokolwiek?

— A jakże! Całych dziewięć rubli!

— Hurrah!

Zeskoczył ze stołu jeden, od pieca zbliżył się drugi, tylko ten, co leżał, ani się ozwał ani poruszył.

Teraz lampka oświetliła ich nieco.

Śpiewający miał twarz ładną, młodą, trochę bezczelną i 2

cyniczną; ten, co grzał ręce, był garbaty, szpetny, o krótkich, pałakowatych nogach, zapadłej piersi i twarzy zalęklej, chorowitej; ten, co wszedł, był szczupły, nerwowy, żywy, o prostym, szczerym

wejrzeniu siwych oczu, trochę marzycielskim zakroju ust.

Wyjął z kieszeni garść asygnat i rzucił obojętnie na stół.

— Róbcie z tym, co chcecie. Ja się zmęczyłem — rzekł.

— Ja chcę tytoniu — rzekł cynik.

— Lampa gaśnie! — wtrącił kaleka.

— Ja bym chętnie coś wypił gorącego!

— No, to tak. Trzeba nafty, herbaty, cukru, araku, tytoniu, chleba, kiełbasy, wódki i śledzia! Niech Maksymow idzie! Kiedy bal to po formie! Słyszysz, Gregor?

— Słyszę, tylko Maksymow nie pójdzie. Żeby go Bóg stworzył na posłańca, miałby proste nogi. Ty sam idź, Sewer.

To powiedziawszy leżący powstał, aby zapalić drugiego papierosa, wrócił do łóżka, ale już nie legł, tylko usiadł, rękami objął głowę i zamyślił się.

Sewer wcale nie protestował, wziął czapkę i wybiegł.

Maksymow wydobył samowar z kąta i wodą go napełniał.

— Czyś otruty, Gregor? — spytał kapitalista.

— O bestie! żebym ja ich miał w ręku! — z niedającą się opisać wściekłością tamten zamruczał.

— Kogo? Profesorów?

— A tych wszystkich, co się władzą nazywają!

— Pewnie znów heca o *Kwiatek Lnu*?

— A jakże! Złodziej ma siedem paszportów, a chodzi bezkarny! Ona, dobra i cicha, niech się choć do domu rozpusty zapisze, kiedy nie ma papierów! To prawo! Trzy dni dali jej zwłoki, a potem... won z mieszkania, z miasta, 3

może won ze świata! O psy!

Podniósł głowę i pięści. Był młody, piękny, dziki.

Zbudowany przepyszenie wysoki smukły brunet, twarzy ściągłej i smagławej, mającej w sobie dziwny, pociągający urok, a na czole i w oczach piętno rzadkiej potęgi i myśli.

Tacy muszą panować, władać, rządzić, bo do tego stworzeni.

Nawał myśli buchał mu na usta, więcej niż chciał

wyrazić; pohamował się, twarz znowu w dłonie ukrył i znieruchomiał.

— Co robić? I to minie! — smutno, z rezygnacją nad lata jego starszą, westchnął towarzysz.

— Co minie? — Tamten się zachnął.

— Bieda!

— To nie bieda, to krzywda! Masz rację, Świda, i to musi minąć.

Świda głową dziwnie pokiwał.

— Musi, nie musi — odparł powoli, a marzące jego oczy szły w dal nieokreśloną. — Żebyś ziemię na wylot przekopał, ta grudka, co na wierzchu, i ta, co na najgłębszym spodzie, ten wyraz ci powie: krzywda! Treść ziemi ten wyraz stanowi.

— To ją zepchnąć w próżnię, niech ginie!

— Tytani już skałami przywaleni leżą pobici!

— Milcz, bo ci powiem, żeś i ty pies niewolnik.

— Powiedz, jam jest! — zdławionym głosem szepnął

towarzysz. Sewer wpadł z hałasem i śpiewem, z okrutną fantazją.

— Masz, małpo! — krzyknął obrzucając Maksymowa pakunkami.

Zaczął wnet papieros kręcić i trzepał ze śmiechem:

— Jak Kijów Kijowem, nie mieli studenci takiej uczty.

4

Zaprosiłem po drodze męczenników z Ławry, niech przychodzi Chmielnicki ze swymi rabusiami, starczy dla każdego kielbasy i wódki. Cóż wy? Śpiewacie? Wszystko głupstwo wobec wieczności, a wieczność wobec kwaszonego ogórka. Kto tu gospodarz? Mogę być i ja.

Gdzie będziemy ucztowali? Na podłodze? O siedzenia nie będzie sporu.

We dwóch z Maksymowem zajęli się rozłożeniem zapasów i przyrządzeniem biesiady. Dwaj tamci siedzieli na łóżku, nie wtrącali się do niczego — myśleli.

— Słuchaj, Świda, jeśli mi tu zaraz nie zaśpiewasz, to cię zarżnę! — krzyknął Sewer nalewając pierwszy kieliszek.

Wypili wszyscy i częścią leżąc, to klęcząc otoczyli zapasy. Gregor tylko nic nie jadł, a pił za dwóch.

Przy trzecim kieliszku Sewer zaproponował:

— Każdy najmilsze zdrowie!

— Nie mam nikogo! — rzekł Świda.

— Ja Gregora! — bąknął Maksymow.

— Ty *Kwiatka Lnu*, a ja piosnki wesołej.

— Masz przecie matkę — zauważył Świda.

— Mogę ci ją ustąpić za byle co, nawet gratis ofiarować.

Ty gdzieś rodziców podział?

— Jednego dnia ich pobito w powstaniu naszym!

— A ty, Gregor, czyś kukułczy syn, kozaczy?

— Nic ciekawego — mruknął Gregor.

— Owszem. Żyjemy razem, dobrze czasem pogadać o swoich stronach, o swoich ludziach. Dobrze pogadać o swoich rojeniach, ot, byle codzienną biedę odepchnąć. My ze Świdą niedaleko się rodzili. Przynajmniej tak moje papiery opiewają. Sewer Adrianów Sławicz. Ojca nie widziałem, bo gdzieś umarł, a matki także nigdy nie

widziałem, bo mnie rzuciła temu szelmie Stockiemu na opiekę. Pieniędzy podobno przysyła tyle, że dotąd nie zdechł, a sama gdzieś za granicą siedzi. Ot, ja kukułczy syn, bracia! Ale to nic. Zobaczycie, że kiedyś het, u wierzchu będę!

— To jakim sposobem? — spytał Świda.

— Bo chcę!

— Dobrze powiedziane! — bąknął Gregor.

— Szczęśliwy, kto ma iluzje! — rzekł Świda. — Ty czemu ich nie masz?

— Bo nic z tego nie będzie. Pieść myśl jaką, kochaj, noś ją w głowie i sercu — tyle twego. Kształtów ona nie przyoblecze, nie stanie przed tobą, nie wypadnie jej jedna z tobą droga, a goniąc ją, łeb roztrzaskasz!

Nagle Gregor się porwał, stanął przed Polakiem i jak w kleszcze porwał jego ramię.

— Ty milcz! — krzyknął strasznym głosem. — Myślisz tak, to po co żyjesz? Idź, Dniepr niedaleko.

Miejże tę moc ustąpić z drogi żywym, ty trupie. Nie zabieraj nam powietrza, nie truj. Won!

Zielonawym, tygrysim błyskiem płonęły jego demoniczne źrenice. Pijany był.

Świda spokojnie nań spojrział.

— Posłuchaj, Gregor! Wiesz ty, kto ja! — zawołał

zapalając się. — Ja Polak! *Et nos fuimus!* *1 Tak, mieliśmy kraje od morza do morza i pierwszą po rzymskiej republice

— równość, wolność, potęgę. Królami byli ojcowie, orłami, lwami. A ja kto? Za ideę ojciec mój skonał pod szubienicą, matka ducha oddała pod pletniami sołdactwa, kat wziął mienie, a ja kto, Polak. W gimnazjum są 1* *E t n o s f u i m u s !* (łac.) — I my byliśmy!

6

stypendia, na uniwersytecie są pomoce, na świecie są posady, prace, kariery, a na drzwiach do tych miejsc pomocy, na każdym szczeblu społecznej drabiny wypisane stoi: „z wyjątkiem osób polskiego pochodzenia”. Nas, wchodzących w życie, piętnują: „katolik”, „nielojalny” — i tak idź w świat. Poddany państwowemu jesteś, podatek zapłać, służbę wojskową wypełnij, a zresztą poza tym ty nielojalny, niepotrzebny, zawadzający tym, którzy ze Wschodu do twego kraju przyszli i na gruzach buntu, za waleczność w tej wojnie, zajęli ziemię, urzędy. Ty parias, nigdzie niepotrzebny. Powiedzcie mi, szczęśliwsi Czerkiesi! Wypędzono ich gromadą z własnego kraju. Pod armatami wygnano, pletniami pędzono, po co nas zostawili? Poczekaj, Gregor, nim mi i stąd „won” powtórzysz. Chwałę, sławę, cywilizację, dorobek, czyny wielkie tyłu pokoleń ja odziedziczyłem, czuję się panem tych moich panów, a od stu lat każde pokolenie daje w klęskach moce, bohaterstwa, zdrowie, krew i marzenia. Co chcesz, ja ostatni skąd mam mieć moc, zrodzony na zgubę, w matki wnętrznościach już skazany? Teraz mi powtórz

„won”, Gregor! Człowiek, który nie ma dla czego żyć i pracować, tylko dla siebie jednego, zaprawdę, niewart życia, bo nie jednostką jest wielkiej cyfry, ale zerem.

To powiedziawszy Świda ku drzwiom się skierował, ale mu Gregor drogę zastąpił i prawicę wyciągnął.

— Daruj! — rzekł poważnie.

Przyskoczył Sewer, przykuła! Maksymow, ścisnął każdy dłoń pariasa, ale nastrój uczyty utracił niefrasobliwy ton i każdy głęboko się zamyślił.

Wśród tej ciszy rozległ się głęboki głos Gregora. Głos to był przepyszny, o niewyczerpanej skali tonów, porywający, jak on cały porywający był.

7

— A ja co? Ja Grzegorz Romanowicz Zachareńko! Ja Małorus, co kniaziom swoim służył, gdy tam,

na Wschodzie, po panach moich terazniejszych Tatarzy deptali nogami jak bydłę po gnoju! Mnie kto pytał, czy jarzma chcę? Futor, co jeszcze Chmielnickiego pamiętał, mieli rodzice. Spodobał się gubernatorowi. Żeby go dostać, wplątali ojca w proces złodziejski o rabunek cerkiewny i poszedł w katorgę; matce, gdy z żalu i desperacji szalała, dowiedziono, że jednym słowem obraziła władcę i pognano też w Sybir. Mnie oddano do ochronki podrzutków, ograbiono z mienia i nazwiska. Zachareńko ja, co carów bizantyjskich imię noszę! Siedem lat wtedy miałem, a pamiętam, i konając takim będę.

— Tedy nam sobie dłoń podać trzeba! — rzekł Świda.

— Przed nami już tylko jedna zguba, spodlenie. Ta pamięć chwały to jedna obrona.

— A czyn?

Sewer słuchał zwarzony i ponury. Rękami włosy zwichrzył i desperacko się odezwał:

— To otchłań. I skąd ratunek? Każdy malkontent, każdy cierpi i ginie! A zda się, cierpią miliony przeciw setkom.

Zda się łatwo granice skasować, wojsko, władzę wybrać, a nie znosić — i świat by odżył.

— To mało! — rzekł Gregor.

— Dać każdemu żyć i pracować na swej ziemi, po swojemu do Boga i braci mówić! — dodał Świda.

— To mało! — powtórzył Gregor.

— Żeby nie było pieniędzy, a ludy nie politycznie a etnograficznie się łączyły! — szepnął dotąd milczący Maksymow.

— To mało!... Wyjałowione grunty rodzą chwasty, wycieńczone organizmy rodzą kalectwa, wyżyte społeczeństwa rodzą potwory. Siekiery i pług! Ognia i krwi! Tę całą ziemię zrównać, zgładzić, wytępić! A potem na odrodzonej siać nowe ziarna!

— Więc mord znowu, znowu krzywda, znowu samowolna władza! — gdy tamci ze zgrozy umikli, podjął

Maksymow. — Czyś ty już zapomniał, Gregor, ten hymn do białego Boga Zendawesty?

I gdy nikt się nie odezwał, kaleka swym głosem schorowanym powoli mówił:

— „Ahuramazdo, jeżeli człowiek porwany przez namiętność podrażni cię myślą, mową lub uczynkiem, a upokorzony woła, abyś mu był przyjacielem, uczyn to, ty wielki, ty święty, ty nieśmiertelny, ty najdoskonalszy, jako ja przyjaciel będę człowiekowi, który mnie ukrzywdzi, a przeprasza w pokorze”. Biały Bóg, dobry Bóg! — dodał

Maksymow.

— Ten dobry, co da mi choć jeden tryumf. Ten mój będzie, ten wielki, najdoskonalszy! — ponuro się ozwał

Gregor.

— Zwariowałeś, Maksymow! — krzyknął Sewer. —

Więc ty sobie roisz, że ślepi przejrzą, a kąty cię przeproszą może?

— Może synowie ich przejrzą, wnuki. Im w duszę ziarna rzucać!

— Apostołować ten myśli, idiota!

— Więc cóż czynić?

— Naprzód dłonie sobie dać, żeby pamiętać, że nas czterech było. Pójdziemy w świat, niechże choć każdy wie, że trzech braci ma, że nie sam jest. I poprzysiąc, że żaden z nas się nie spodli i krzywdy na duszę nie weźmie, gdzie by nie był, w najgorszej i najlepszej doli.

Na te słowa Sewera Świda pierwszy dłoń podał, za nim 9

uczynili to Gregor i Maksymow.

W tejże chwili gdzieś z wieży ozwał się zegar i uderzył

dwanaście razy.

— Otóż i Nowy Rok! — zawołał Sławicz. — Co on nam da?

— Może dola kapryśna zajrzy na strych, a niedola jędza na schodach nogi połamie — z uśmiechem dodał Świda.

Jeszcze mówił, gdy za drzwiami rozległy się kroki i poszukiwanie klamki. Wreszcie drzwi się rozwarły i zajrzał

posługacz hotelowy wahające

— Czy tu jest ten pan? — spytał bilet podając.

Sewer go porwał i przeczytał.

— To ja sam. Czego? — spytał żywo.

— Chwała Bogu! Na trzeciej kwaterze znalazłem, mogłem szukać do setnej! To generał przybyły onegdaj prosi pana do siebie.

— Co za jenerał?

— Z Petersburga przyjechał. Zajął trzy salony. Bogaty pan! Prosił, aby pan nie zważając na godzinę zaraz przyszedł.

— Awantury arabskie! Słyszycie, koledzy?

— Ano może to dola! — uśmiechnął się Świda.

— Idź! — rzekł Gregor.

Sewer raz jeszcze na bilet spojrzął, wreszcie ręką machnął, palto na ramiona tylko narzucił i wyszedł za posługaczem.

Pozostali ruszyli ramionami.

— Ot i jeden już ubył! — bezmyślnie zamruczał

Maksymow sprzątając resztki uczyty.

Gregor począł chodzić po pokoju, Świda usiadł i zapatrzył się w próżnię. Myślał, a raczej marzył, bo po chwili śpiewać począł:

10

Orły lecą, gwiazdy świecą,

Kraj w niewoli — ty daleko,

A wokoło łązy.

Tak się w swych wspomnieniach pogrążył, że nie spostrzegł, jak się drzwi znowu rozwarły, ale tym razem nikt nie wszedł, tylko wsunęła się dłoń czarna, mała ręka wyrostka, rzuciła na ziemię papier zmięty i znikła. Nawet Maksymow tego epizodu nie dojrzał. Gregor widział, nic nie rzekł, nieznacznie papier podniósł i do lampy z nim podszedł. Były na nim tylko dwa wyrazy i cyfra: *Ulica Górna 11*. Spojrzał na drugą stronę, znowu jeden wyraz i dwie oderwane litery: *Zaraz — Z. W.* Nieznacznie student papier nad lampą potrzymał i na dłoni spalił, proch pozostały starł i rzucił. Potem do Maksymowa przystąpił.

— Pójdę! — rzekł. — Jeśli jutro mnie nie będzie, powiedz im, że wyjechałem ze Stefka; jeśli za tydzień nie wrócę, to i nie szukaj między żywymi, cicho siedź!

— Gregor, to i ja z tobą!

— Mówię zostać, słyszałeś?

— O Gregor! To Czarny Bóg!

— Mówię milcz! Słyszałeś?

Maksymow jak robak na ziemi się zwinął i stęknął

głucho. Nieznacznie Gregor się ubrał i wyszedł. Świda zamyślony wciąż śpiewał.

11

II

WERBUNEK

Ulica Górna była jednym z najgorszych zaułków padołu.

Dom, oznaczony numerem 11, drewniany, niski, posiadał

od frontu trzy sklepy: szynk pełen stołecznych szumowin, nędzną norę tandeciarza i kramik z tytoniem oświetlony kopczą lampą, brudny, zabłocony, wstrętny. Gregor zawahał się chwilę, gdzie iść, wreszcie pchnął furtkę bramy, wiodącą do ciemnych, wilgotnych sieni. Oprócz wrzasku pijanych w szynkowni i pisku rynsztokowych szczurów nic się nie odbywało w głębi tego ponurego domostwa. Dotykając ścian Gregor napotkał drzwi i na chybił trafił zastukał do nich.

Po dość długiej przerwie zajęczał klucz. Na progu stanął

mężczyzna wysoki, w czerwonej jedwabnej koszuli wyglądającej spod narzuconego niedbale surduta. Światło świecy, drżące od przeciągu, padało nierówno na twarz jego bladą, pokrytą szwami po ospie, szpetną, ostrą, z wyrazem owej martwoty i obojętności, jaką chłop pokrywa wszelkie namiętności i wrażenia. Policzki miał, mimo chudości, potężnie rozwinięte, oczy zielone, małe, schowane głęboko pod wydatnym, niskim czołem, usta wąskie, posępnie zaciśnięte, w prawym ręku coś dzierzył, kryjąc pod koszulą. Był to jeden z tych ludzi ślepo posłusznych, jak żelazo wytrwałych, zaciętych, zimnych, niczym nieubłaganych. Spojrzał spode łba na gościa, prawicę wyjął spod koszuli, rewolwer błysnął i wnet zniknął w kieszeni, a on spytał przez zęby: 12

— Gotów ty?

— Gotów.

Oczy kacapa błysły radością, usunął się i za Gregorem drzwi zarygłował.

Stali w małej izdebce o trzech drzwiach, zawalonej łachmanami tandeciarza, bo stanowiła komórkę przytykającą do sklepu. U stolika, na którym tłała groszowa łojówka wetknięta w szparę desek, stał mężczyzna średniego wieku, szczupły, wyniosły, o ruchach człowieka wyższych sfer, choć miał na sobie kozuch wyrobnika, pod nim perkalową różową koszulę i buty koślawe na nogach.

Mało co widać było jego twarzy — szary łachman miał na jednym oku, a zarost bujny łączył się ze zdziczałymi włosami. Zauważył Gregor, że w lewym uchu nosił prosty srebrny kolczyk, a na skroni bliznę miał bardzo świeżą.

Stał oparty o stół i ostre oczy wpił w twarz nowicjusza, zazierając do dna myśli.

— Oto człowiek! — rzekł kacap w jedwabnej koszuli i cofnął się w głąb.

— Dużo mi mówił o tobie Nikita Siemionow — rzekł starszy. — Wierzę ledwie w połowie, ale i tego dosyć!

— Ja, co siebie lepiej znam niż Nikita, nie powiem nic

— odparć student zimno.

— Gotoweś z nami iść?

— Dokąd? Cele bywają różne.

— Do swobody i woli. Do boju z tyraństwem, władzą nieprawą, ohydą całej ludzkości. Do wolnej myśli, wolnej ziemi, nowego porządku i praw! Rozumiesz ty, jako mścić musimy miliony, jako odwet brać za wszystkie upodlenia?

— Jestem z wami!

— A wiesz, jak do tego świata iść nam trzeba? Krwią, zdradą, skrytobójstwem. Nie apostołem będziesz, ale 13

mordercą, i będziesz zwierzem tropionym przez psy, będziesz co dzień o krok od śmierci, aż ją weźmiesz może na szubienicy, a malkontentów miliony cię nie obronią, bośmy pionierzy za ledwie.

— To wiem i gotówem!

— A wiesz ty, że z chwilą obecną targasz wszystkie człowiecze uczucia i obowiązki? Nikt pozostać nie powinien, kto by ci mógł wolę osłabić: ani rodzina, ani druh, ani kochanka. Jednostką będziesz, jednej idei poddaną duszą, ciałem, siłą, myślą — wszystkim. Każą ci podpalać, judzić brata na brata, ojca na syna, burzyć ustawy najpotężniejsze, może ci każą umrzeć za drugiego, potrzebniejszego nam, każą truć, dusić, kłamać, krzywoprzysięgać, kraść, przekupywać — musisz być posłusznym bez drgnienia albo się zabić. Pamiętaj!

— Dla tego dnia, co przyjdzie, takim będę! — wymówił

Gregor ponuro.

Podniósł głowę i patrzył na mówiącego. Oczy jego stalowe migotały czarnymi błyski.

— A wiesz ty jeszcze, że rozkazywać ci może będzie podpalacz, złodziej, wyrzutek społeczeństwa, z mętów dno same.

— Dla tego dnia, co przyjdzie, niech mi rozkazuje!

— A jeśli zdradzisz, zabije cię jak psa parszywego ten sam, tu obecny, Nikita.

— Tego nie uczyni — spokojnie rzekł.

— Pamiętaj i o tym, że cię ujmą. Pamiętaj o więzieniu, śledztwie, torturach, o obietnicach rajów i katuszach piekielnych, pamiętaj, że milczeć musisz!

— Ja wiem, kędy moja droga iść musi. Ot, patrzcie!

Pięść wyciągnął nad płomieniem i trzymał, aż całą izbę nappełnił swąd spalenizny.

14

— Co to znaczy! — mruknął z pogardliwym uśmiechem.

— Maszże chęć jaką dla siebie osobistą?

— Jakże! Chcę ruiny starych bogów, rządów, praw, dogmatów. Chcę zmartwychwstania pokrzywdzonych i zdeptanych, chcę nowego świata i zwycięstwa człowieka wolnego. Owego dnia chcę, owego odrodzenia!

Zamilkł i chwilę myślał.

— Jeszcze jedno. Nikita, znasz Stefkę?

— Znam! — mruknął ospowaty.

— Żona to twoja czy kochanka? — spytał jednooki zimno.

— Ani jedno, ani drugie. Sierotę wziąłem z ulicy, dziecko prawie. Teraz ją zostawię. Chciałbym jej dać spokój. Ona nie ma żadnej legitymacji!

Jednooki, nie odpowiadając, otworzył tylne drzwi izdebki i zawołał:

— Nikifor Iwanicz!

Na to wezwanie wąska figurka tandeciarza zjawiała się w progu. Miał na sobie wytarty mundur piechoty, twarz była uosobieniem azjatyckiej podległości rozkazom.

— Masz metrykę i inne urzędowe papiery dla młodej dziewczyny?

— Mam!

— Podaj tu zaraz. — Sługa zniknął.

Jednooki wyjął notesik z kieszeni i spojrzał na Gregora.

— Student jesteś?

— Tak, medyk, jako i Nikita.

— Na którym kursie?

— Na trzecim.

— Może już tu nie zostaniesz. Nikita Siemionow, oddaję ci go pod twoje rozkazy, a ty, młody, u nas będziesz się 15

nazywał Małorus.

Tandeciarz wsunął się znowu i położył na stoliku parę arkuszy papieru z rządowymi pieczęciami. Jednooki czytał:

— *Maria Wasiliewna Achtarow, urodzona w chersońskiej gub. eta, etc.* Dobra metryka, Nikifor?

— Dobra, panie. Cerkiew ta spaliła się zeszłego roku.

Sam diabeł nie sprawdzi.

— Dobrze, możesz iść. Małorus, weź to sobie. Gregor z gorączką zgarnął papiery.

— A teraz zadam ci pierwszą próbę. Słyszałeś o zabójstwie żandarma w Tulę?

— Słyszałem.

— Ten, co to uczynił, przemyka się za granicę i przez nieuwagę wpadł w oko policji. Depesze z rysopisem latają wszędzie. Nie można go poświęcić, bo wiezie ważne papiery, musi być w Żytomierzu jutro. Telegraficzne druty już tam zerwano, depesza idzie pocztą. Ruszaj, i żeby ta przeklęta koperta nie była przed środą w Żytomierzu.

Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Oto masz pieniądze na drogę, przebierz się i nie bądź

trwożny!

— Bądźcie spokojni. Nie mnie ginąć w takiej nędznej okazji. O świcie odchodzi pociąg, odniosę jeszcze te papiery.

— W drogę zatem, tę wielką, tę jedną, którą razem już iść będziemy. Hej! triumf przed nami!

— Dożyjemy go; a nie my, to ci, co po nas przyjdą!

Żegnajcie! Uścisnęli sobie dłonie. Nikita otworzył drzwi i podał mu rewolwer.

— Weź! Twój gorszy! — mruknął.

Gregor kiwnął głową, broń na piersi ukrył i wyszedł.

16

— Sprawi się dobrze? — spytał jednooki.

— Zapewne i to uczyni, ale to nie jego powołanie. On nie narzędzie, to będzie wódz, organizator! Setki pójdą za jego głosem, za tą jego demoniczną siłą wzroku, wymowy, pięknoscią. Jego, nie zdając sobie sprawy, już teraz słucha cały uniwersytet. Jego słowo masami kieruje! On nas wszystkich kiedyś przerośnie.

— I pewny?

— Ot, jak kamień. Wy sami nawet przysięgi od niego nie wzięliście.

— Nie śmiałem.

— Tak jest!

— A ta dziewczyna?

— Będzie jego kochanką. Piękna, ale dziecko.

— Pilnujcież jej!

— Będzie naszą.

— A zatem ostatni interes załatwiony. Ruszam dalej.

Byle już być za granicą.

— Przeprowadzić was?

— Nie trzeba. Jest na rogu Iwan z dorożką. Bywajcie zdrowi!

— Szczęśliwej wam drogi!

Jednooki wysunął się przez drzwi w głąb. Nikita Siemionow dobył z kieszeni jakiś papier, brudną próbę drukarską, i pochylony nad stołem, robił ołówkiem znaki i uwagi. Tak go zastał Gregor po godzinie. Spojrzał na papier i rzekł:

— Jutrzejszy numer *Ziemi i Woli* ty drukujesz sam?

— Nie, żona.

— Twoja?

— Moja.

— Nie mieszkanie razem?

17

— Nie. Ona pracuje u Kar stowa w sklepie, a nocą gazety odbija. Jak mnie wezmą, ona zostanie. Jest dziecko.

Gdy to mówił, nawet i wtedy twarz mu się nie rozjaśniła.

Niewolnik to był swojej idei. Schował makulaturę do kieszeni i zawołał tandeciarza. Zabrano się do dzieła. Gdy noc dobiegła kresu, z bramy jedenastego numeru wyszedł

na ulicę kacap młody, ryży, w typowym tułubie i obdartej czapce. W kieszeni miał paszport Jakowa Samonowa z pskowskiej gubernii, starowierca, miał nóż, pieniądze, w cholewie miał rewolwer i pęk kluczyków.

Jednocześnie ze sklepu tandeciarza wyszedł młody człowiek ubrany pół po europejsku. Kacap szedł przodem, student Nikita za nim. Tak długo trwało. Wreszcie robotnik zwrócił w stronę dworca kolei, student poszedł w przeciwną stronę. Otarli się prawie o dwóch policjantów, którzy śledzili psa podejrzanego o wściekliznę.

Nikita ani razu się nie obejrzał.

Kim ten był, ten starszy malkontent? Czy był

wyrzuconym z ziemi pariasem, czy odartym z nazwiska potomkiem kijowskich kniaziów, czy Czerkiesem wygnanym armatami z rodzinnego aułu? Czymże jego ten władca znieawidzony ukrzywdził? Ten władca przed kilkunastu laty ojców jego uczynił wolnymi kraju obywatelami, obdarował szczerze w ziemię i samorząd, pieścił i dogadzał jak ojciec najmłodszemu dziecku.

Odkryte miał przed sobą Nikita: nauki, karierę, nawet bezkarność zapewnioną względem dawnych panów...

Nikita był chłopcem z mińskiej gubernii, z ojców zamożnych i urzędników gminy. Czy marzył władca ideolog, obdarzający miliony niewolników, że takiej wdzięczności dozna już w pierwszym pokoleniu? Uczynił

dzieło wiekopomne, jednym zamachem pióra o sto lat 18

naprzód pchnął ideę równości, z trzody chciał ludzi uczynić, a wyhodował sobie katów. Tygrys, zrodzony w psiarni, będzie przecie tygrysem.

Nikita urodził się w chacie starszyny. Ojciec chytry lis, uchodził za mędrka; obłowił się też przy konfiskacie pańskiego dworu; miał pola dwie włóki, dobytku obfitość.

Sam niepiśmienny, marzył o rozumnym synu, który by kiedyś pisarzem gminnym mógł zostać, honoru i dochodu mu przysporzyć. Dwóch miał dziedziców imienia i fortuny, ale starszy, Jarmoch, zda się już w polu, a młodszy, Mykita, głupowaty i wątpy, w sam raz na „pysara”! Wątpość i głupowaty wygląd zdecydowały o losie Nikity. Poszedł

do miejscowej szkółki, pod władzę świeżo z Rosji sprowadzonego nauczyciela, proletariusza i socjalisty.

Cztery lata spędził pod jego ręką i wpływem. Głupowatość znikła, rozbudziła się wcześniej beczelność, krańcowość i cynizm. Przyswajał sobie prędko teorie „nastawnika”.

Chaos miał w głowie, ale nie ten chaos, po którym zdrowe światło wejdzie. Jak w słońce patrzył w mistrza, pożerał

jego słowa, wierzył jak w Boga. Więc naprzód stracił

uszanowanie dla starszych, zuchwale nawet o karze się odzywał, gotów ojcowskiej władzy siłą się oprzeć, wiary nie miał żadnej, a wreszcie pogardził swym stanem, marząc o świecie dalekim i użyciu. Takim już był, gdy po tych czterech latach, pewnego wiosennego wieczora przestąpił z patentem w rękę próg ojcowskiej chaty. Elegant był, a minę miał hardą i cyniczną. Wszedł i zakrztusił się dymem i oparem napełniającym izbę, gdzie mieściła się, wraz z rodzicami, rodzina ożenionego już od dwóch lat brata Jarmocha.

— *Zdrastwujtie!* — przemówił po rosyjsku, podając ojcu chlubne świadectwo skończenia nauk.

19

Ale stary czytać nie umiał. Wetknął świadectwo za święty obrazek na ścianie i pokazał misę synowi.

— *Perechrestyś, taj jesz!* — rzekł.

Nikita skosztował, skrzywił się i łyżkę położył.

— Cóż dalej będzie, bat’ku? — spytał.

Powstała ożywiona dysputa. Ojciec chciał go oddać do powiatowego gimnazjum, brat się opierał, matka płakała, a dzieci Jarmocha wrzeszczały wniebogłosy. Nikita słuchał i czerwieniał, wreszcie wstał i zaklął straszliwie.

— Cholera na was! To wy myślicie, że ja tu wam pastuchem będę i ratajem? Że ja w tej smrodliwej norze usiedzę i w tym błocie żywot zbędę? Niedoczekanie wasze!

Ty, bafku, pieniądze mi dawaj, a ty, durny Jarmochu, milcz, bo ja ci pokażę! Mnie co innego sądzono niż chłopem być! Jak po woli nie puścicie mnie w świat, to i sam trafię!

W ojcu miał poparcie, więc postawił na swoim. Stary Semen grosze dał, a mentor „nastawnik” odwiózł chłopca do miasta i wrócił z wieścią, że go do trzeciej klasy przyjęto.

Minęło lat pięć i słuch o nim zaginął. Nawet o pieniądze się nie upominał, nie przysyłał wieści, nie przyjeżdżał na wakacje. Zapomniano o nim jak o umarłym. I znowu pewnego wiosennego wieczora drzwi chaty Semena rozwarły się przed gościem obcym zupełnie i rozległo się pozdrowienie:

— *Zdrastwujtie!*

— Mykita! — krzyknęła matka jedna.

Tylko przecucie matczyne odnalazło dawnego pastuszka w tym mężczyźnie ubranym w czarny surdut, w czerwonej koszuli. Ospa zeszcpeciła do reszty ostre, brzydkie rysy. Tylko mu oczy płonęły dziko, spode łba 20

patrzące. Wnet też zrozumiała rodzina, że wszelkie węzły życie zerwało na wieki, nie mieli o czym mówić nawet.

Nikita nie słuchał prawie wioskowych i gospodarskich kronik, krzywił się najadło i czarny chleb, nie spojrział na dzieci Jarmocha, nie spytał o żadnego z dawnych znajomych. Nie chciał nawet w chacie zamieszkać, ale po godzinie poszedł na nocleg do szkoły.

Matka zapłakała, ojciec spojrział za nim ponuro, a Jarmoch, plotąc łapcie u komina, mruknął:

— Ja wam to przepowiedział, bat'ku.

Nikita, wyszedłszy na ulicę wioskową, zapalił papierosa i gwizdał, rozglądając się wkoło. Zajrzał do karczmy, gdzie tańczono i pogardliwie się zaśmiał; spojrział na dwór i ponuro błysły mu źrenice; minął cerkiew i mogiłki bez uchylenia czapki.

Wyszedł za wieś. Noc była przecudna, wszystko kwitło i pachniało, miesiąc świecił srebrzyście. Nawet Nikita odtajał i parę razy pełną piersią odetchnął, czując w sobie niebywałą błogość i spokój. Nagle zatrzymał się i słuchał.

Głos dziewczęcy, smutny, niedaleko nucił: Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,

A ja łzami;

Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą, Ja mymi łzami.

Student podszedł. Obok drogi płot się ciągnął, za nim sad, domek bielutki i gospodarskie obejście. U furki drewnianej, pod osypaną kwieciami jabłonią, stała dziewczyna cała w miesiącu. Ubrana była ze szlachecka, zgrabna, smukła, twarzy ślicznej, czarnooka, cud, nie dziewczyna. Patrzyła na przechodnia bynajmniej nie 21

załękniona, tylko smutna.

Przystanął u płotu, zapatrzony w nią.

— Czemu tej pięknej nocy smutno śpiewacie? — spytał

pół po rosyjsku, pół miejscowym narzeczem. — W

karczynie piją i tańczą!

— Ja do karczmy nie chodzę!

— I tego wam szkoda?

— Nie. Tak smutno czegoś! — westchnęła.

— To ja was pożałuję! — rzekł łagodnie.

Dziw się stał z Nikita. Naprawdę żał mu było dziewczyny, i choć ją mógł objąć i wycałować, tylko patrzył.

— A wy kto? Tutejszych znam, a was nie.

— Bo ja w gościnę dziś przyjechał z Kijowa. Starszy syn, Nikita!

— Aha, słyszałam coś o was. Mówią, że wy bardzo uczony?

— A pewnie! — zaśmiał się.

I znowu w nią się wpatrzył i głucho rzekł:

— Nu, czy to miłowanie będzie, że mnie tak coś za piersi uchwyciło. Tyle widział i przeżył, a ot od was na mnie przyszło. Krasa bo od was jak łuna bije! Kto wy?

— Ja Józefa Kalinowskiego Helenka! Ojciec u dawnych panów lokajem był i tę ziemię za dobrą służbę dostał. Teraz jednak macochę wziął i ja gorzej sieroty.

— Pozwólcie jutro przyjść, na siebie popatrzeć. Dziw, jak mi do was serce skacze! Uroki czy co?

— Nie gadajcie bredni! — szepnęła. — Wstąpcie jutro, ale do domu. Ojciec rad przyjmie.

Ruszyła, aby odejść, a jego nagła gorącość objęła.

Przechylił się, wpół ją objął i pocałował. Szarpnęła się, potrąciła gałąź jabłoni. Deszcz śnieżnych płatków osypał

22

ich głowy, a on, odchodząc, zatoczył się jak pijany.

Dwa miesiące zabawił i pokochali się z dziewczyną zapamiętale. Poszedł otwarcie do starego Kalinowskiego i o córkę ucziwie poprosił, ale natknął się na tak dumną i ubliżającą odmowę szlachcica, konserwatysty i katolika, że tylko zęby zaciał i zemstę zaprzysiągł.

Przyszło mu to łatwo, bo dziewczynę opór ojca rozegzaltował tak, że oddała się kochankowi duszą całą i ognistym temperamentem.

Jednak sprawy swej Nikita nie zaniedbał. Dnie spędzał

w szkole i karczmie, skupiała się przy nim młodzież wioskowa, chciwie pożerając nową naukę. Propaganda rozwijała się świetnie. Niewola zaszczepiła w nich wszystkie nikczemne instynkty, ciemnota uwodziła na błędne rozdroża. Pijani byli żądzą odwetu na wszystkim, co władzą się zwało, patrzyli na grunty dworskie jak na swą przyszlą własność, bo Nikita przepowiadał podział równy, zniesienie podatków, darowywał im Rosję całą!

Tymczasem stawali się bezczelni i hardzi. Czynili szkody i bezprawia, odgrażali się buntem i zaborem, nie chcieli zarobkować we dworze, szynkarzowi tłukli szyby i odbijali wódkę.

Wieczory spędzał Nikita w wyborowym towarzystwie.

Byli tam popi, diaki, nastawnicy, pisarze, niżsi urzędnicy.

Tam już się dysputy toczyły, plany rozwijały, rzucono coraz krwawsze zdania i poglądy. Były to bratnie duchy studenta.

Zdarzały się dla urozmaicenia „prazniki” i festy, wieczorki demokratyczne, jarmarki, pijatyki. Wesołe to były wakacje.

Nareszcie trzeba było się rozstać. Pewnego wieczora Nikita w niezwykle dobrym humorze wszedł do swego 23

mentora.

— Czas wracać, Nikołaj Antonowicz! — rzekł oglądając przy świecy naboje rewolweru. — Żyd dał donos na mnie, a jutro ma policja aresztować! No, bywajcie zdrowi!

Przeprowadźcie na trakt!

Poszli bez drogi, poza ogrodami.

— Na Boga, Nikita! — szepnął nastawnik—toż ciebie złowią na uniwersytecie.

— Na jakim! — zaśmiał się student. — Ty wiesz, skąd ja przyjechał, dokąd jadę? A jeśli ty nie wiesz, to któż?

Oni? Te durnie, policjanty? Niech szukają wiatru w polu.

Niedaleko karczmy zatrzymał się, usiadł na płocie, zapalili papierosy. Nikita nasłuchiwał, rozglądał się, wreszcie zaśpiewał:

W małym siole Wańka żył,

Wańka żył!

Wańka Tanku polubił,

Polubił!

Zanim śpiewać skończył, nastawnik wydał okrzyk zgrozy, kłęby czarnego dymu objęły karczmę, a wnet i płomień błysnął.

— Ot, ode mnie Żydowi pamiątka! — rzekł Nikita. —

Teraz już pójdę spokojny. Do zobaczenia za rok!

Zeskoczył z płotu i zaśmiał się.

— Byleby Żyda żywcem upiekli, te bydlęta! — rzucił

ostatnie życzenie i przepadł w gąszczu.

Dotrzymał obietnicy, wrócił po roku i nawet tym razem do ojca nie wstąpił. Poszedł do szkółki.

— Co u was nowego słyhać? — zagadnął po przywitaniu.

24

— Już ucichło. Było sporo biedy z tą karczmą. Żyd się upiekł, wiesz. Zwalono wszystko na tego krawca sołdata, Osłupa. Zuch chłop, ani pisnął, i poszedł nieborak w aresztanckie roty.

— Nieborak zdrów i cały, handluje tandetą, tylko nazywa się Nikifor. Służy doskonale. Z mojej racji nikt się nie marnuje!

— Tylko córka Kalinowskiego!...

— Przyjechałem po nią, bo już mam kawałek chleba.

Umiłowałem ją na śmierć!

— We dworze służy. Po tej hańbie wygnał ją ojciec z domu, a bił, a pastwiłaż się macocha... Przeleżała u nas miesiąc! Przyjęto ją we dworze na pokojówkę. Biedna, połowy jej nie stało.

Nikita, słowa nie rzekłszy, pociągnął do dworu. Wrócił

ponury, dziki i ruszył do dworku Kalinowskiego.

Pozdrowił po rusku i nie bawił się w długie przedmowy.

— Przyszedłem po waszą córkę, a moją kochankę —

rzekł patrząc na macochę jak głodny wilk.

Starzy oniemieli na jego widok.

Chuda jego, szpetna twarz wyrażała zimną decyzję na wszelkie ostateczności.

— Słyszysz mnie, ty babo! Marsz do dworu, dziewczynę przeproś i do domu zabierz. Jutro ze swatami przyjdę, jak każdy cham, i wesele huczne mieć chcę... Stoisz jeszcze?

Idź, bo nie ujrzyście, ani wy, ani ten folwark, dnia jutrzejszego, jeśli moja wola się nie stanie! Żeby nie dziewczyny za wami prośba, poznalibyście mnie innym!

Teraz ja dobry! Starzy usłuchali, zgnębieni.

Hardy szlachcic przyjął nazajutrz chłopskie swaty.

Nikita na złość mu włożył świtę i postoly, przychodził co dzień do Helenki, pił, palił obrzydliwą machorkę. Pastwił

25

się nad pokonanym Lachem.

Kazał sprosić wszystkich półpanków i koligatów Kalinow—skiego na ślub cerkiewny i na wesele; naprowadził ze swej strony tłuszcę pijanego, brutalnego chłopstwa, łajał, krzyczał, poił, naigrawał się. Wreszcie, syt tryumfu, pożegnał rodzinę, zabrał żonę, zabraniając wziąć cokolwiek oprócz odzieży, co miała na sobie, i opuścił na zawsze strony ojczyste.

Przepadł jak kamień w wodzie, na wielkim świecie. I, rzecz dziwna, Helenka nie zapłakała nigdy na swą dolę.

Rzecz dziwniejsza, że Nikita, cynik, człowiek bez żadnych zasad i pojęć moralnych, ją szanował, nigdy słowem nie uraził, najlepszym był mężem. Pracowali oboje ciężko, bili się z biedą nieustannie, często przymierali głodem, a przecie przez lata całej takiej psiej doli żadne nie rzekło gorzkiego słowa. Wszystkie dobre uczucia tego człowieka skupiły się w niej jednej, poza nią tygrys to był.

W hierarchii socjalnej stanął wysoko. Głową był

moskiewskiego nihilistycznego klubu, redaktorem ich dziennika; pomimo to uczył się świetnie, rok mu tylko pozostał do doktoryzacji, ile do zguby, katorgi lub śmierci, tego nie wiedział, lecz się nie troszczył.

Takim był ten chłopski syn, zdrajca swego dobroczyńcy.

26

III

PIERWSZA PRÓBA

Stacja pocztowa w Olszance była, jak wszystkie, żydowskim domostwem, którego tyły zajmowały stajnie i remizy, a naprzeciwko, za błotnistą ulicą, świecił szynk, zwykle schronienie pocztylionów.

Pewnej nocy pisarz miejscowy zdawał koledze listy i pakiety do następnej stacji, a obadwa mieli mocno skwaszone miny. Ten, co zostawał, wolałby jechać, bo miał

żonę sekutnicę; ten co jechał, wolałby zostać, bo zakochany był w miejscowej popadiance. Na dworze zresztą wichur szalał, padał śnieg i wcale drogi nie było.

Pod oknem, przylepiony do ściany, stał człowiek i przyglądał się przez szybkię robocie, przysłuchiwał się lakonicznym uwagom.

— Ot, policyjna depesza do gubernatora, słyszeliście, telegraf popsuty!

— Psia robota. Jeszcze i za telegraf obowiązek spełniaj!

— mruknął drugi urzędnik wsuwając papier do torby.

Człowiek podpatrujący odlepił się od ściany i poszedł do szynku.

Urzędnicy zasiedli do herbaty.

W pół godziny potem na dziedziniec stajenny Żyd dzierżawca się wychylił, drżąc z zimna.

— Iwan! — krzyknął.

— Aha! — odparł z głębi chrapliwy głos.

— Zaprzęgaj! Powieziesz „sumkę”.

— Aha!

27

Po krótkim oczekiwaniu dzwonek jękliwy rozległ się przed gankiem.

Urzędnik wyszedł otulony w burkę i baszłyk, rzucił z pasją torbę na spód bryczki, skulił się na siedzeniu, szablę obok siebie umieścił, nogą kopnął woźnicę.

— Ruszaj, kanalio! — burknął wściekły na świat cały.

Odgłos dzwonka wnet w wichrze utonął.

— Wio, wiooo! — wrzeszczał od czasu do czasu pocztylion, ćwicząc szkapy bez miłosierdzia.

Urzędnik już i oczy zakrył, tak go ten wiatr siekł po twarzy. Usypiało go leniwe stąpanie koni,

monotonny krzyk chłopa, chlupanie błota. Wreszcie zasnął.

Pocztylion spojrział nań raz i drugi, potem fajkę zapalił, przechylił się naprzód, przysunął do siebie torbę i wziął ją na kolana. Kwadrans może tak manewrował. Potem, świecąc sobie fajką, obejrzał zameczek, sięgnął do cholewy, dobył pęk kluczyków i dobierał je po kolei.

— Wio! wiooo! — krzyczeć nie ustawał.

Minął znowu kwadrans gorączkowy. Nareszcie znalazł

pasujący kluczyk, otworzył, zajrzał do wnętrza. Świeciła mu źle mała iskierka fajki i trudna była robota. Urzędnik kiwał się zawzięcie, może mu się śniło, że tańczy ze swą miłą na prazniku. Ocknął się na jakieś gwałtowniejsze stuknięcie, odkrył oko, spojrział na szablę i torbę przede wszystkim: inwentarz kazonny był w całości. Znowu go ogarnęła wściekłość na tę drogę i niepogodę, kopnął obcasem woźnicę.

— Pojedziesz ty prędzej, błotna gadzino!

Nagle inny duch wstąpił w konie, ruszyły sporym truchtem.

Po godzinie urzędnik znowu na innej stacji zabierał

pocztę i rozgrzewał skostniałe członki.

28

Woźnica ani chwili nie popasał, z powrotem gnał biedne szkapy. W zanadrzu miał przemokłą, siną kopertę, a biedny urzędnik w tej chwili ani przeczuwał, że za parę dni straci posadę, byt, wpadnie do więzienia, pożegna się z rojeniem o pięknej popadiance. Sina koperta wracała do Olszanki, a zbieg nihilista, za dni parę bezpieczny, przewinie się przez szmat kraju, niosąc epidemię dalej i zniknie za granicą.

Szkapy ustawały zupełnie i dzień się robił, gdy pod samą Olszanką woźnica spotkał idącego ku sobie parobczaka.

— Daj wam Boże zdrowie! — wołał dobrodusznie. — I poczęstowali jak brat, i poratowali jak brat. Leżał ja pijany, jak kłoda; żeby wy mnie nie zastąpili, straciłbym miesięczną pensję. Dziękuję! Wgramolił się na kozioł, zastępca został na drodze.

* * *

Nikita preparował trupa w sali anatomicznej, gdy Gregor doń trafił z raportem. Rozmówili się oczami, sina koperta przeszła w ręce Siemionowa. Przeczytał ją i zaśmiał się.

— Diabeł by go nie poznał według tego rysopisu. No, sprawiłeś się gracko na pierwszy raz.

— Mogę pójść do siebie?

— Możesz, wieczorem zaprowadzę cię do klubu.

Wziął znowu narzędzie do rąk, gdy sobie coś przypomniał i zawołał wychodzącego:

— Słuchaj no, żonie trzeba w drukarni pomocy. Oddaj tam twoją Stefkę, będzie bezpieczna...

Gregor bystro nań spojrział.

— Każesz? — krótko spytał.

— Nie, radzę!

— To nie chcę. Za młoda ona na to.

29

— To co? Ja cham, kobietę rozumiem tylko jako współniczkę i pomocnicę. Młoda, tym lepiej, wcześniej twe cele obejmie i zrozumie. Ty co, chcesz z niej mieć zabawkę?

— Nie, ale jej nie mam do sprzedania ni stracenia.

— Głupio robisz! Rozpustnik Sewer już ją przezwał

„Kwiatkiem Lnu”. Zabiłbym go za to, ale tobie kwiatek dogadza — to wstyd, a potem będzie nieszczęście.

Gregor brwi zmarszczył.

— Od nikogo pociechy nie poproszę — mruknął przez zęby i wyszedł.

Zmęczony był, więc spieszył na strych, gdzie mieścili się od roku we czterech. On i Świda byli medykami, Sewer słuchał prawa, Maksymow filologii; poza studiami pracowali rozmaicie: dawali korepetycje, przepisywali akta, chwyтали byle jaką robotę, żeby żyć. Sewer miewał

zasiłki od opiekuna, Maksymowem zajmował się jakiś pop, daleki krewny, Świda i Gregor dawali sobie sami radę.

Gdy Gregor wszedł do stancji, zastał Świdę zajętego nauką, Maksymowa czytającego w kącie.

Brakło śpiewu Sewera.

Filolog powitał przyjaciela uśmiechem tak szczęśliwym i radosnym, że aż zaćmił jego szpetotę; Świda badawczo spojrział mu w oczy.

Legł Gregor spać, ale mu czegoś brakło, wreszcie zrozumiał powód swego niepokoju. Ziewnął i rozejrzał się.

— Gdzie Sewer? — spytał.

— Nie ma!

— To widzę, słyszę i czuję. Bywał tu kiedy tak cicho przy nim, ale gdzie się powlókł?

— Będzie już zawsze tak cicho! — mruknął zadowolony Maksymow, a Świda dodał:

30

— Kazał cię pożegnać, wyjechał zupełnie. Mówił to tak niechętnie, że zajął Gregora.

— Co się stało?

— Zabrał go ten generał do Petersburga.

— Jaki generał?

— Ten, co do niego posyłał hotelowego na Nowy Rok!

— Zabrał, po co?

— Na opiekę.

— Dlaczego? Krewny to jego?

— Długo by gadać — mruknął Świda.

— Jak się zowie ten generał?

— Glebow, szef żandarmów!

Gregor się zerwał i zbieleł jak ściana.

— Glebow, dawny gubernator?

— Glebow, uśmierzyciel polskiego buntu — ponuro dodał Świda.

Stali naprzeciw siebie tak wzruszeni, że nie mogli słowa rzec. Maksymow, któremu przeszkadzali wertować sanskryt, zatknął uszy i czytał półgłosem.

— I za tym Glebowem on poszedł? — wyjąkał wreszcie Gregor.

— Poszedł. Szał go ogarnął. Podobno ma go dostojnik ten nawet usynowić. Sewer wpadł tu do nas nieprzytomny z dumy. „Kariera”, wołał, „bogactwa, użycie, wszystko mam! Nikt z nas słowa nie rzekł do zaślepionego. Poszedł, obiecując nam swe łaski kiedyś.

— Co to znaczy? Kim jest dla niego ten Glebow?

Rozumiesz ty cokolwiek?

— Ja rozumiem. Pamiętasz przecie, że sam mówił, żeśmy niedaleko się rodzili. Ale czy warto mówić niesławy? Poszedł, nie spotkamy go więcej.

— Owszem mów, mów. Ten Glebow więc i u was się 31

krwią zapisał?

— Tak. Stary mój opiekun nieboszczyk opowiadał o tej sprawie. Dzieckiem byłem, ale mi to w pamięci zostało jako hańba. W owe czasy było wielu bohaterów u nas, byli i słabi, ale taka ohyda na Litwę całą była jedna. Adrian Sławicz był porządny człowiek, miał majątek od jeziora ogromnego, pod samym dworem, zwany Jezierna, liczył się do najbogatszych właścicieli, rządził się rozumnie. Zaczęto sarkać nań od ożenienia. Wziął kobietę bardzo piękną, świetną, ale złego rodu. Na naszej konserwatywnej ziemi wierzą w rodową tradycję cnoty lub występku. Była żona Sławicza z rodu złych kobiet, wróżono mu źle zatem. I tak się stało. Jezierna się zmieniła. Bale szły po balach, gości było pełno, obcych, znajomych pani z szerokiego świata.

Sławicz sponurzał, usunął się od obywatelstwa, nawet z czasem przestał się pokazywać w pałacu. Cała okolica mówiła głośno o skandalicznych romansach pani, po imieniu nazywając kochanków. On musiał to słyszeć i rozumieć, ale milczał, nie pilnował, nie sądził i nie mścił

się.

Wybuchło powstanie. W pałacu był bal, i tejże nocy gospodarz poszedł w las, na śmierć. Piękna pani została na łasce Moskali, a przecie minął miesiąc, a na Jeziernę nie spadała konfiskata. Dziwili się sąsiedzi, a wreszcie dziwić się przestali. Pewnej nocy, w głębi puszczy, gdzie z partią obozował, dowiedział się Sławicz, jaki to glejt miał dom jego przodków, gniazdo uczciwych Polaków. Przyszedł

ktoś świeży, do braci osaczonych i przy ogniu rozpowiadał:

— Tego wzięli i tego, i tamtego. Ten dwór spalono, ten zaorano, ten skonfiskowano.

— A Jezierna? — spytał Sławicz.

Opowiadający go nie znał, więc odparł bezwzględnie: —

32

Jezierna bezpieczna! Strzeże pułk piechoty, no a pułkownik

— kochanek pani!

— Kto on?

— Jakiś petersburski elegant. Rolę gospodarza dobrze odgrywa. Ze dworu pułk idzie na nas obławą

jutro!

Wstał Sławicz od ognia, strzelbę wziął i poszedł. Chłop rybak przeprowadził go nocą przez jezioro, szedł oślep na zgubę. Podobno pułkownik miał nazajutrz obwiązaną rękę.

Boże, strzelba w pokoju niewygodna broń. Wezwał ludzi, żeby usunęli trupa z sypialni pani. Trup miał dwie rany od kul pistoletowych, a na sobie powstańcze łachmany. U pani w kilka miesięcy potem urodził się syn. Nie zaprzeczył

nikt, gdy go nazwano Sławiczem, ale też nikt w to nie wierzył. Pułkownik ruszył dalej w swej zwycięskiej walce i więcej się w Jeziernie nie pokazał. Sławiczowej jednak glejt pozostał, ale usiedzieć nie mogła w tamtych stronach.

Sprzedła majątek, za granicą bawi stale. Chłopaka wywiozła i rzuciła obcym ludziom, wyhodował się bez matki i domu, bez wspomnień i tradycji. Taki został! Teraz nie wiem, dlaczego ten ojciec prawdziwy go sobie przypomniał.

— Ten ojciec, Glebow!

— Tak.

Spojrzeli na siebie z jednakim wstrętem i ohydą. Potem Świda boleśnie się uśmiechnął, a Gregor zamruczał:

— I stanie się, że ja z jego ręki padnę albo on z mojej.

Jedna droga, ha, jedna droga!

Zaśmiał się i on gorzko.

33

IV

NOWICJAT

Klub, do którego wszedł Gregor, miał za szyld ludową garkuchnię i najgorszego gatunku salę taneczną. Wśród wrzawy, tłoku na oczach policji spiskowano najspokojniej.

Za restauracją i salą zabaw było kilka stacyj dla graczy i palaczy. Stacje te miały mało znaczne boczne wyjście, miały czujną straż i najlegalniejsze pozory. W najdalszej prezydował sam zarząd klubu. Gregor przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia. Obcował z hałastrą nie zdającą sobie sprawy z własnych żądź, z zapaleńcami służącymi za narzędzia, wreszcie ze starszyzną. Bawił tydzień, gdzie inni rok spędzają. Po miesiącu znał wszystkich i każdego, pojął

organizację i siły. Dużo plew było i dużo mętów. Czuć było młodość, nowość instytucji — fermentowało, burzyło się, wrzało gorączkowo. Ledwie kilku rozumiało cele, gotowych było do

walki, reszta przynosiła tylko wstyd i szkodę. Niełatwe miał zadanie Nikita, rządzić tą niesforną zgrają. Trzeba było i gładzić, i pobłagać, i karać, a przede wszystkim — imponować. Gregor niedługo patrzył i uważał, a poznał wnet braki wodza. Był świadkiem starć gwałtownych, niesnasek, poza klubem wściekłości Nikity; nienawidził swych podkomendnych, nie mogąc ich ujarzmić. Siemionow do czynu się zdał, administracji podołać nie mógł. Mówił źle, unosił się łatwo, brutalizował

delikatnych, ustępował przed warchołami, lękał się pięści i języków szui zuchwałej. Gregor jeden był mu ślepo posłusznym, na mieszanych zgromadzeniach wcale nie 34

dysputował, zachowywał się chłodno i rozważnie, nie ubliżył nigdy przywódcy. I stało się, że Nikita pewnego dnia wyznał mu swą niezaradność, poprosił pomocy.

Gregora znali dotąd tylko z artykułów w *Ziemi i Woli* artykułów świetnych, pełnych rozumowań ścisłych i planów potężnych. Wertowano je w klubie, w ciasnych głowach nawet czyniły one jasność, sprowadzały najsprzeczniesze żywioły do jednej idei i celu. Artykuły te miały dziwną moc spokoju, uszanowania i logiki. Wtedy to na jednej z burzliwych sesyj, gdy debatowano nad propagandą wśród wojska, a Nikita daremnie chciał ład zaprowadzić, kilku najburzliwszych rzuciło się do Gregora.

— Ty, powiedz, co myślisz? Jak ty, tak my! — wołano.

Gregor pierwszy raz powstał i przemówił wśród ciszy, której klub nie znał:

— Kim my jesteśmy? Członkami klubu czy nie? Jeśli nie, jesteśmy zgrają; jeśli tak, powinniśmy jednego słuchać.

Ja w imieniu wszystkich przepraszam Nikitę!

Nikt już tego wieczora głosu nie podniósł. Nazajutrz przyszli do Gregora trzej socjaliści, najtężsi, najpoważniejsi z grona: Dmitri Achaczeńko, Fiodor Małyczew i Iwan Satin.

— Słuchaj! — rzekł Achaczeńko — ma nami kto kierować, to tylko ty, Nikity słuchać nie chcemy.

Gregor przez chwilę tylko patrzył na nich tak, że spuścili oczy.

— Czy Nikitę narzucono wam? — spytał.

— Wybraliśmy sami, bo wówczas był najstarszy!...

Teraz my dorośliśmy i przerośliśmy jego...

— I przeto jesteście zdrajcami. Nie wy uczynicie co wielkiego! Ja jeszcze nie dorosłem niczego oprócz posłuszeństwa Nikicie.

Nikita tego samego dnia wiedział o tym przez szpiegów.

Gregor spotkał go w drukarni *Ziemi i Woli*, gdzie przyszedł z artykułem. Ponury był Siemionow i ledwie mu dłoń uścisnął.

— Nikita, tobie nie wolno być człowiekiem.

— Sobacze mięso! — burknął chłop zawstydzony.

— Jeśli ci chodzi o mój szacunek, to daj dłoń! Nie nam myśleć o takiej nędzy!

Już pojednani, złączeni ściślej i poważniej, ruszyli do klubu.

Świda i Maksymow weszli doń jednocześnie z Gregorem.

Kaleka nie zajmował się żadnymi nowożytnymi sprawami, ale za Gregorem poszedłby w piekło. Świda wolał w klubie spędzać wieczory niż samotnie na strychu.

Tam słuchał, patrzył, ale zdania swego dotąd nie wyraził.

Po zgodzie zawartej z Nikita Gregor ośmielił się dać mu parę rad.

— Za wiele ich jest!... Ja bym na twym miejscu zdecentralizował klub i rozdzielił władzę. Motłochowi rzuciłbym człowieka z byczą piersią i gardłem. Wybranych zebrałbym ściślej.

— Wybranych?... Jestże jeden pewny? — gorzko wódz mruknął.

— Jest dziesięciu. Tych bym zorganizował, i już gotowych rzucał między ludzi. Przy tym mniej gadania, więcej czynu. Dysputy rozwadniają kwestię. Zresztą my już wiemy, czego chcemy.

— Powiedz to im! — cicho rzekł Nikita.

Uznawał się tedy bezsilnym.

Do klubu nie wchodzili przez garkuchnię. Na ciemnym 36

zaułku wpadli w jakąś sień wąską. Tędy był odwrót zapewniony w razie zejścia policji. Tylko Nikita je znał i chłopak wyrostek, Iluszka, który tu nocną wartę odprawiał.

Wchodzący natykali się na niego, cichy gwizd — i Iluszka zniknął spokojny. Tego dnia zatrzymał Nikitę.

— Okropnie tam wrzeszcza! — szepnął. — Ja skoczę, zobaczę, co to znaczy. Zaczekajcie!

Zostali, a on po kilku minutach wrócił.

— Nic to. Bawią się! — oznajmił.

W ostatnim pokoju kilku starszych czytało gazety lub pisało na skrawkach pospiesznie. W następnym słuchano jakiegoś obcego i przeglądano broszury litografowane, dalej panował wrzask ogłuszający.

Nikita spojrział na obcego, zamienili z sobą milczący uścisk dłoni i odeszli na stronę.

Gregor skierował się na ten hałas, tknięty przecuciem.

Przez kurz, parę i plecy ludzkie zrazu nic nie ujrzał; skupiony tu był tłum młodzieży. Wreszcie dostał się do środka i spostrzegł jednego z klubowców, syna kupca, Fiodora Chwastowa, przedstawiającego jakąś dziwną pantomimę.

Student, wielki drażgał, zrobił sobie garb olbrzymi, podkurczył jedną nogę, rozburzył włosy, umalował na żółto twarz i wśród strasznych kontorsyj, pijany, skakał udając, że tańczy i wył fałszywie jakąś bezwstydną piosenkę. Była to karykatura Maksymowa, tak udatna, że widzowie bili brawo i wtórowali huraganem śmiechu.

Oryginał, trzymany na rękach przez dwóch drabów, asystował wijąc się jak wąż i prawie płacząc w bezsilnej złości.

Gregor przyskoczył do Chwastowa, porwał go za kark, wstrząsnął i przed sobą postawił.

37

— Co ty robisz? — spytał zimno.

— Bawię się! — burknął student.

— To idź się bawić gdzie indziej, do podobnych tobie.

My, co do swobody dążymy, do wolności i równości, nie pozwolimy nad słabszym się pastwić. Tam idź, gdzie słaby ofiarą; u nas łaby jest godnym szacunku, bo my rycerze biednych, małych, pokrzywdzonych! Idź od nas, czynownicy niech ci będą mistrzami!

Chwastow milczał, Maksymow uczył się wolnym, tłum cofnął się i małał. Umykali lepsi, wstydem zdjęci.

Gregor wtedy pierwszy raz przemówił, rękę na ramieniu Maksymowa trzymając. Zdało się, że blask słoneczny go oświecał, taka piękność, siła i zapał zeń biły. Mówił swym metalicznym głosem, co miał raz po raz to stali zgrzyty, to dzwonów dźwięki, to organów powagę.

Słowa mu biegły jak rzeka, zwroty miał to groźne i dzikie, to błagalne; a przed oczyma słuchaczy rozwijał się obraz całej ludzkości, tej zdeptanej — nędza, rany, krzywdy. Aż głos jak w trąbę uderzył, trąbę do boju, do powstania, do wynagrodzenia, a potem w modlitwie jakby skończył, w prośbie o zgodną pracę, o wytrwałą walkę, o szlachetne braterstwo, o zgodę i jedność. „Bo dzieło wielkie jest i przekłety, co mu przeszkadza, głupi, co za sobą go nie widzi, nieszczęsny, który je zdradza!” Już przestał mówić, a jeszcze długie minuty cisza trwała taka, że nawet szmer oddechów ustał, potem ledwie szepty zadrgały, a wreszcie rzucili się do niego wszyscy, porwali na ramiona,

wyli podnieceni do szału, zelektryzowani na bohaterów.

Zdumieni ciszą, z dalszych izb ukazali się starsi, wszedł

wreszcie Nikita z tym obcym i słuchali tej nadzwyczajnej wymowy.

38

— Więc to wasz Mołorus! — szepnął obcy. —

Zobaczymy go wysoko. To demon! Więcej takich, a sprawa nasza wygrana.

— Taki stworzy sobie podobnych! — zawołał Nikita przejęty.

Odtąd Gregor przemawiał czasami i odtąd on był

rzeczywistym zwierzchnikiem. Doszło do tego, że Siemionow nie zdecydował nic bez porady z nim.

Poznał

tedy Gregor wszystkie tajemnice i wszystkich ludzi ideą z nim złączonych, i tylko dotąd Świda nie przejrzał.

Polak był to człowiek spokojny i cichy, zgnębiony swym położeniem wyjątkowym, rzetelny pracownik, marzyciel w chwilach wolnych. Wtedy śpiewał albo czytał poezje swoje narodowe. Cenił go Gregor i zjednać chciał. Czekał, że on zacznie o tym rozmowę, ale Świda o tym zdawał się nie myśleć.

Więc raz zaczepił go sam pewnej wolnej niedzieli wieczorem.

— No i cóż, i ty z nami? — rzekł.

Myślał wahanie spotkać, ale Świda kategorycznie odparł:

— Nie.

— Jakże! Pogodziłeś się ze świata porządkiem?

— Nie, ale w wasz plan nie wierzę — tutaj.

— Jak to, tutaj?

— To znaczy na świecie w ogóle, a w Europie w szczególności. Nie ziemski to plan i nie ludzki. Idea szczytna dla wybranych. Kup wysepkę małą i zaludnij ją tymi wybranymi i to zadanie nad siły, i ci się rozprzegną! A ty marzysz o świecie takim, i to w Europie starej, przeludnionej, zgrzybiałej w swej nieprawości, wiekami uprawnionej. I marzysz co: równy podział ziemi i 39

bogactwa, swobodę zdań i myśli, wolność obyczajową, moralną, religijną! Jestże to możliwe?

Nazajutrz już jeden straci, drugi przysporzy, jeden pracować będzie, drugi nie.

To koniec równego podziału. A swoboda zdań i myśli?

Jeden powie, że dzień, drugi, że noc, wezmą trzeciego na sędziego i oto spór gotów, oto dwa już stronnictwa.

Marzysz wolność obyczajową i moralną—wydrzyjże ludziom swoim nerwy, wytocz krew, zniszcz żądze, swawole i fantazje, bo inaczej drugi świt wolnego świata ujrzy znowu mordy, nadużycia, stare rany odnowione!

— Jak to, więc nie wierzysz w dojrzewanie duchów i społeczeństw? Nie wykształcamyż ludzi?

— Nie, bo środki wasze są haniebne! Kto sieje wiatry, zbiera burze. Kto składa waszą partię? Teoretycy i utopiści, uważający ludzi wedle jakichś książkowych formułek; szalone głowy, żądne wrzawy i ekscesów, i masa brudna, chcąca się obłowić!

— A mnie do kogo zaliczasz?

— Tyś się urodził o dwieście lat za wcześnie, jak ja o dwieście za późno. Dlatego zmarnujemy się obydwaj!

— Więc ty czego pragniesz, do czego dążysz? Czyście już tak zupełnie niewolą spodleni, że żadnej iskry w was nie zostało?

Świda poczerwieniał.

— Ja osobiście nic już burzyć nie chcę. Królobójców nie było w naszym narodzie. Zmęczony, skrzywdzony, cierpię cicho! Chciałbym do ziemi swej wrócić, i na niej żywot zbyć pracując. Ach, kawałek ziemi!

Gregor pogardliwie splunął.

— A ziemiaż ta? Uważasz, że twoja? Kazionna ona, czyno—wnicza, popia, a nie twoja!

— „Moja! — dumnie podnosząc głowę rzekł Świda. —

40

Moja, bo na niej ojciec mój padł w otwartej walce, bo w niej moja matka leży, która mi tę oto jedną pamięć po sobie zostawiła, zaszytą w szkaplerzyk.

Sięgnął medyk do piersi i pokazał blaszkę srebrną jak medalik. Orzeł i Pogoń były na jednej stronie, Bogarodzica na drugiej.

— Ot, mój sztandar. Mnie idei ni walki szukać nie trzeba. Pod ten znak pójdę albo pod żaden. Nie wolno mi też po nocy walczyć i tradycji burzyć — mnie, starego rodu synowi — i nie stanę z tymi, co

w Boga nie wierzą, bom Tej Królowej poddany! Wy, młody naród, żyć i działać poczynacie. Nie brudźcież rzezią pierwszej karty waszej młodzieńczej historii. Wieki z was tej plamy nie zmyją.

Bez wiary jesteście, prędko moc straciecie. Mnie was żal!

— Więc cóż czynić mamy? Biernie znosić gwałt nad duchem i człowieczeństwem?

— Nie, lecz wychowywać! Wychowajcie urzędników uczciwych; uczonych o szerokim poglądzie; nauczycieli mądrych i dobrych; kobiety poważne i światłe. Niech staną wasi legalnie u steru rządu, niech nie krwią zaleją kraj, ale swoją własną jasnością. Macie ludzi, którzy napiszą konstytucję, wychowajcież jeszcze takich, co by ją rozumnie, głęboko pojęli. A nie tykajcie dwóch rzeczy: Boga i rodziny. Gdy to zwalicie nie ujrzycie swej przyszłości!

Gregor głową potrząsnął.

— Zaiste, urodziłeś się o dwieście lat za późno, lunatyku! — rzekł ponuro. — Tak, dla ciebie nie ma wśród nas miejsca! My nie możemy czekać lat na wyzwolenie, nam iść trzeba krokami olbrzyma, walczyć bronią, jaką się da, wierzyć w czarnego, mściwego Boga! W każdym razie wierzę ci, i skoro przejrzysz, przychodź do nas śmiało!

41

— Nie zdradzę was za cenę życia nawet, ale nie pójdę, za cenę wolnego kraju! — odparł spokojnie Świda.

I już więcej nigdy o tym nie mówili.

Czas biegł, przygotowania do egzaminów pochłonęły wszystkich. Świda kończył kursy, miał pracować na doktoryzację. Gregor nawet wieczory w domu spędzał.

Nikita przychodził do niego, skoro interes się trafił.

Klub zamknięto na czas jakiś, wskutek nagłej rewizji w lokalu, której ofiarą padł restaurator, Bogu ducha winien, niczego nie świadomy, i odsiedział miesięczny areszt.

Uczyniła się tedy wielka cisza. Gazety rozpiwały się szeroko o stłumieniu nihilistycznego ducha w Kijowie, gubernator dostał order, policja pieniężną nagrodę.

Biedny Iluszka coś wiedział o tym zwycięstwie policji.

Stracił swą nocną posadę, a natomiast musiał *Ziemię i Wolę* roznosić po mieszkaniach, i co tydzień gdzie indziej obwieszczać punkt zborny, wedle rozkazu Nikity. Wskutek rozgłosu sprawa zyskała kilku dobrych członków, którzy dotąd o niczym nie wiedzieli, a emisariusz z zagranicy przywiózł pełne skrzypce poleceń dla wodza.

Skrzypce te przyniósł Nikita do Gregora i przejrzeni zawartość. Był przekaz na bank, na pięćdziesiąt tysięcy rubli. Na zapomogi jednym, na przekupstwa drugich, na druki, na podróże, na propagandę

były te pieniądze.

— Patrz, jacy my bogaci! — rzekł Nikita do Świdy, który u tegoż stołu pisał swą rozprawę.

Polak obojętnie na stos pieniędzy spojrzął:

— Moja Litwa bogatsza. Przez dwadzieścia już lat płaci rocznie sześć milionów kontrybucji za powstanie!

— Stado! — burknął Nikita zwracając się do Gregora.

— I my stąd pójdziemy. Dla ciebie jest rozkaz stawienia się w Genewie, mnie poruczono przekradzenie z zagranicy 42

falszywych asygnat. Tedy ruszymy za dni parę. Skończyłeś egzaminy?

— Skończyłem.

— Zabierz swe papiery. Kto wie, czy wrócisz tutaj. A teraz do dzieła. Trzeba z gotowymi rozkazami dla wszystkich być dzisiaj na sesji. Och! katorga wakacyjna, ile to ginie przez te dwa miesiące, jeden o drugim nie wiedząc!

Zasiedli do dzieła. Nikita wziął na siebie przekradzenie fałszywych asygnat, tęszych rozsyłano na propagandę po całym Cesarstwie, słabych oddawano pod zarząd zorganizowanych klubów, rzucano ową zarazę ducha wszędy, by toczyła społeczeństwo.

Załatwiwszy tę czynność wyszli, zostawiając Polaka w mieszkaniu.

Wczesna wiosna opanowała już niebo i ziemię. Latarnie uliczne nie rozjaśniały już ulic. Rozjaśniał je śliczny księżyc i gwiazd miliony na wypogodzonym odświeżonym szafirze niebios. Dniepr szumiał potężny, a wiatr nanosił w nozdrzach świeżej ziemi rzeźwość, pobudzał krew do grania.

Tak idąc, wspomnieli o sobie.

— Żonkę mi rzucić trzeba! — rzekł Nikita. — Ostatni wieczór tu bawię. Jutro Nikifor tandeciarz paszporty nam przygotowuje i pójdziemy. Kobieta zostanie sama.

Chłopskim obyczajem podrapał się za uchem i przez zęby zagwizdał.

— Zabierz ją z sobą — rzekł Gregor.

— Aha! A drukarni kto dopilnuje? Ona tu obowiązkiem przykuta, ja gdzie indziej. Z fałszywymi asygnatami całą Rosję trzeba przejść. Żeby chociaż wrócić. Jeśli zginę, to może ją bracia przygarną, żeby dziecko podhodować mogła!

Znowu zagwizdał.

— Jednakowoż bez niej prędzej bym zginął. Człowiek brnie na oślep, nikogo za sobą nie mając. Ano, jak swe szczenię małe wspomni, chytrzej postępuje! Ty się nie ożenił?

— Nie.

— To się ożeń przed odjazdem. Kto wie, kiedy wrócisz.

Wicher daleko wolny liść niesie, a kochanka jak wolny liść.

Żona co innego! ‘

Gregor nic nie odparł. Nie wywnętrzał się nigdy ze swych spraw osobistych. Może się wstydził kochania jak słabości, może się bał ludziom o swym raju opowiadać...

Raj ten sam sobie stworzył.

Przed kilku laty, w chłodny marcowy wieczór, zerwał to kochanie swoje jak kwiat tajemniczej, wielkiej mocy.

Dziewczyna to była, co sprzedawała fiołki na rogach ulic, sama jak kwiatek ładna i delikatna w swych łachmanach.

Jakaś wiedźma, która ją wychowała dla występku, jak towar, wysyłała ją co rano z wiązkami kwiatów, ucząc w ten sposób włóczęgi i żebrania. Owego wieczora, u drzwi kawiarni, czatowała długo, skulona na marcowej słońcu, bojąc się wrócić bez zarobku do domu. W kawiarni studenci grali w bilard i dokazywali z usługującymi dziewczętami, a w kacie, obojętny na kobiety, obojętny na stuk kul, Gregor czytał gazety. Ilekroć drzwi się rozwarły, na dziecko zziębnięte buchało ciepło przesiąknięte zapachem jadła i dymu, i ukazywały się twarze śmiejące. Czekala na tych spóźnionych gości, ożywiona nadzieją groszowego zarobku, głodna jak zwierzę często bite, cierpliwa.

Nareszcie zaczęli wychodzić, potykać się prawie o nią, opędzać się od jej próśb żalonych, wreszcie kłąć.

Przeprowadziła ich jednak do rogu, aż ją któryś nastraszył

44

policją. Wtedy ustąpiła załękła i płacząc wróciła do oświetlonego okna, postanawiając tam nocować we wgłębieniu muru. Gzys ją nieco osłaniał od szarugi.

Zgarbiła się w kłębek i znieruchomiała, wyczerpana głodem, zmęczeniem, zimnem i płaczem. Wtedy Gregor wyszedł ostatni. Doleciał do jego uszu pisk jakby porzuconego kociaka, dostrzegł tę drobinę w łachmanach.

— Czego płaczesz? — spytał.

— Bić będą i jeść nie dadzą! Nikt kwiatów nie chciał.

— Ileż chcesz za kwiaty?

— Pół rubla, panie!

Wstała i wtedy ją ujrzał w świetle okna. Chude to było, nędzne, sine z zimna. Główka tylko miała już skończoną doskonałość form, przedziwną karnację i wyraz.

Ciemniejsze od fiołków były oczy, nad wiek głębokie i słodkie; złocistsze od zboża roztargane, bujne włosy; jak kwiat czerwone usta. Gregor poczuł gorącość w piersi i oczu długo od niej nie mógł oderwać. Budził się w nim kult zmysłów, pociąg nieprzeparty do piękna, zachwyty dla złotowłosego ideału kobiety.

— Chodź ze mną! — rzekł bezwiednie prawie. Poszła spokojnie, trzymając go za rękę. W dłoni jego rozpalonej rozgrzała swą skostniałą rączynę i dreptała milcząca.

Zaprowadził ją do garkuchni, kędy jadał, nakarmił, wypytał

o przeszłość. Gdy, posilona i wypoczęta, uśmiechnęła się doń raz pierwszy z bezmierną czułością, poczuł, że bez uśmiechu tego żyć nie potrafi i rzekł porwany potęgą, która o życiu całym stanowi:

— Chodź ze mną. Nie dam się nikomu krzywdzić!

Będiesz moją!

Dziewczyna roześmiała się znowu rozkosznie. Jedną ręką oddała mu swe fiołki, drugą włożyła w jego prawicę i 45

przytulona doń poszła o nic nie pytając.

On też dotrzymał słowa. Pracą niestrudzoną, odejmując sobie od ust, stworzył jej byt spokojny, za legitymację sprzedał swe życie, włożył w nią wszystkie swe ideały i nadzieje. Przez te kilka lat wyrosła na śliczną kobietę, promieniała młodością, krasą, szczęściem. Mało kto ją znał

z kolegów Gregora. Skarb swój on trzymał w ukryciu.

Tylko Sewer ciekawy wyszpiewował czarodziejkę i Świda o niej coś wiedział.

Mieszkała u starej emerytki, wdowy po oficerze, i zajmowała się robieniem kwiatów, bardziej dla zabawy niż z potrzeby, bo Gregor płacił za nią komorne, ubierał, karmił, dogadzał nawet kaprysom. Kosztowała go bezsenne noce, prace całodzienne; odmawiał sobie wszystkiego dla niej. Przyjmowała to nieopatrnie, sprawy sobie nie zdając z jego ofiar, jako rzecz sobie należną to biorąc. Kochała go za to i była wierna. Poświęcała się nawet, bo nauczyła się wielu nudnych rzeczy, byle mu dogodzić. Wprawdzie on sam profesorem był. Sztukę pisania, czytania, rachunków odeń pojęła, zaznajomił ją z geografją i historją, nauczył

myśleć i sądzić. Poświęcenie to było dla jej natury żywej, swawolnej, wesołej, męką dla ruchliwego umysłu! Przecie wybrnęła z suchych teoryj i nawet umiała słuchać, gdy jej czytywał poważne rzeczy, chociaż wolała mu śpiewać jak ptaszek, wolała się z nim pieścić jak kotek. Natura to była jak воск miękka; urobił sobie ten воск, jak chciał, i szczęśliwy z nią był nad wyraz wszelki. Ona jedna знаła jego śmiech, widziała oczy jego łagodne, słyszała jego serdeczne słowa. W tej izdebce, co raj jego zawierała, on był człowiekiem jak inni, tam ten demon zrzucał swą moc i nienawiść: był dobrym, słabym, wesołym! Za wszystko mu starczyła: za rodziców, za rodzeństwo, za wiarę, za dom, za 46

marzenie!

Teraz ją opuścić miał. Gdy otrzymał rozkaz wyjazdu do Szwajcarii, z wątpliwą perspektywą powrotu, poczuł

śmiertelne zimno w sercu i choć się ni słowem, ni drzeniem nie zdradził, cierpiał nieznośnie. Nie pojmował życia bez niej, a jednak szedł ją pożegnać.

Przed chwilą pożegnał druhów w klubie. Wobec ich entuzjazmu i uwielbienia dla siebie nie mógł się pozbyć owego chłodu w duszy. Przeczucie to śmierci było, śmierci człowieczeństwa dla idei. Powoli, ciężko wszedł na dobrze sobie znane schód; prowadzące do mieszkania Marty Iwanowny Czymbajew, opiekunki dziewczyny.

Nikita rozstał się z nim, dając urlop parogodzinny zaledwie potem mieli się spotkać na dworcu kolei i ruszać w swą drogę.

Stanął Gregor u drzwi mieszkania i we właściwy sobie sposób zapukał. Wewnątrz lekki krok się rozległ i głos srebrny dziewczęcia spytał:

— To ty?

— Ja! — odparł głucho.

Rozwarły się drzwi i ramiona go objęły za szyję, i poczuł serce bijące u swej piersi, i usta gorące na swej skroni. Wpół ją ramieniem ogarnął, gibką, smukłą, i tulił do siebie myśląc, że chyba lepiej tak w objęciu skonać niż odejść na zawsze może!

Długi czas w pokoiku rozlegały się tylko szepty gorących słów i szmery pocałunków. Nic o czasie nie chciał wiedzieć, nic o rzeczywistości. Po rozpacz swej, jej ból ceniąc, myślał odejść jak zwykle, nic nie rzekłszy; to znów czuł, że powiedzieć musi. Boć przecie dotąd ona jedna jego bóle dzieliła, jak dzieliła szczęśliwości.

Przemocą od ust się jej oderwał, od uroku.

47

— Ty wiesz, że ja dzisiaj odjeżdżam! — zawołał dziko, wściekle.

— Gdzie? Na długo? — zapytała bez tchu.

— Za granicę, nie wiem na jak długo. Ty wiesz, że słuchać muszę!

— O Boże! A ja? — zawołała.

— Ty! O moje szczęście... Słuchaj, mówił mi kolega, żebym przed odjazdem ożenił się z tobą. Nie chcę, za nic nie chcę! Rozumiesz, nie chcę żadnych pęt ci nakładać ani cię bodaj nazwiskiem swym narażać. Spokojna masz być, bezpieczna, duszą tylko ze mną związana i własną wolą.

Jakęś mi się oddała, a jam ci opiekę przysiągł i wiarę, tak ci ją dochowam. Gdziekolwiek mnie losy rzuca, o swój los bądź spokojną. Jesteś mi jedną i pozostaniesz. Nie do żony mnie rwać będzie, ale do szczęścia, nie o obowiązku pomyślę, ale o życiu. Życie moje to ty!

— Umrę bez ciebie! — jęknęła rozpacznie. — Zabierz mnie lepiej.

— Wrócę, teraz sam iść muszę!

— Ale ja cię kocham! O Gregor, nie zostawiaj tak mnie!

Boję się!

— Czego? Daleki czy bliski, będę przy tobie. Opiekę moją co dzień czuć będziesz, a nie zawiedziesz mnie przecie, bo ci wierzę, bom człowieka uczynił z ciebie, bo wiesz że mnie zabijesz, gdy zapomnisz i zdradzisz.

Bóstwem jesteś, które czczę; idea, którą szanuję; krwią moją, okiem, duszą i jedyną własnością. Zginie człowiek, co by cię skrzywdził, a ten, co by się o ciebie pokusił, nie będzie żył, póki ja jestem na świecie. Teraz odchodzę, wrócę za rok może, za dwa, za trzy. Ale cię odnajdę wszędzie!

Kochasz mnie?

48

— O Gregor... Nie potrafię żyć bez ciebie!

— Nie mów, tak, nie mów! O mocy moja!

Ustami jej zamknął usta i zrozpaczeni oboje, szaleli, chcąc ból zagłuszyć.

Gdy godzina odejścia nadbiegła, bez głosu byli, bez sił, znękani, nieszczęśni. Jeszcze raz ją wziął w ramiona i szeptem dzikim spytał:

— Nie dasz mi życia stracić? Zastanę cię swoją?

— O Gregor! Jedyne! — szeptała wśród łkań.

— Adres ci przyślę i wieści częste. Tylko ty mnie nie zabijaj. Bez ciebie ja zwierz będę i szatan! Daj mi człowiekiem być!

— Do śmierci wierną będę, do śmierci! Ale ty wracaj prędko! O, nie zostawiaj mnie!

Zemdlała mu w objęciu.

Nieprzytomny oddał ją w opiekę Marcie Czymbajew; polecił staraniom, prosił o pamięć życzliwą i uciekł

zatykając uszy, zataczając się jak pijany.

Był już wielki czas. Na dworcu czekano na niego. Nikita z żoną się żegnał, niby obojętnym głosem dając jej polecenia, tylko co chwila czynił ruch taki, jakby go febra trzęsła. Świda i Maksymow przyszli druhów raz jeszcze ujrzyć i przeprowadzić. Garbus zostawał w Kijowie, on nigdy nie miewał wakacyj, ani kogo swego, by na odpoczynek pojechać. Świda wybierał się do krewnych dalekich, w strony swoje.

Przez chwilę patrząc w wierne oczy Maksymowa Gregor chciał mu dziewczynę polecić, ale go zwykła skrytość przemogła i zamilczał.

Pozegnanie krótkie było i ciężkie, choć, jak na zuchów przystało, spokojne. Nikita czapkę zdjął, dziecko do siebie podniósł, pocałował i matce oddał.

49

— Nu, kobieto — rzekł szorstko — jak by mnie utłukli, to cię może koledzy poratują. A jeśli nie będą pamiętali, to sama nie daj się łatwo biedzie zjeść. Znasz ją nie od dzisiaj, a jak chłopiec z nią się wcześniej pozna, to albo go umorzy prędko, albo zahartuje. Ot, wiadomo, psia dola nasza. Może jeszcze wróć. Nie płacz, głupia, bo mi wstyd! Ot i bęben się drze, jakby to co rozumiało! Bywajcie zdrowi, koledzy.

Uścisnęli sobie dłonie, wsiedli odjeżdżający do wagonu.

Dwóch studentów i kobieta z dzieckiem na ręku stali milczący na platformie, patrząc w okno. Tłum ich popychał

obojętny.

Gregor zaszył się w kąt ławki. Nikita w oknie się rozparł

i gwizdał przez zęby. Oczy jego błędziły po niebie i dachach, czasem je przymykał i ukradkiem na żonę spozierał, tak ostrożnie, aby nawet ona tego nie spostrzegła.

Dopiero gdy pociąg ruszył i turkotał, chłop głowę wysadził i zawołał:

— Helenka, a wspominaj mnie, złoto!

Przeraźliwy gwizd zagłuszył go i Kijów został w mroku.

Długo towarzysze wyprawy nie odzywali się do siebie.

Siemionow spał, Gregor czytał. Przebyli spokojnie granicę.

Potem zaczęli rozmawiać o obojętnych przedmiotach. Na jednej z małych stacyj Nikita wyciągnął dłoń do kolegi.

— Tu się rozstaniemy. Wysiadam!

— Wsiądę i ja, przeprowadzę cię z pieniędzmi za granicę. We dwóch bezpieczniej.

— A pewnie. Ale ciebie nie wolno narażać!

— Mniejsza o to! I tobie, i mnie nie sędzono ginąć w takiej podłej przeprawie. Czeka nas coś lepszego od śmierci!

Wyskoczyli tedy i poszli ze stacji pieszo, zagłębiając się w parowy, ocierając się o zboża, odpoczywając nad 50

strumykami. Zmęczone ich piersi chłonięły chciwie swobodę i spokój. Aż stanęli we wsi dużej, o której nazwę spytał Nikita i rzekł:

— To tutaj!

Potem więcej się o nic nie dowiadywał, tylko surdut swój zdjął, podszewką na zewnątrz wywróciwszy, zarzucił

na ramię i tak, z pozoru rzemieślnik wędrowny, z czapką na bakier, rękami w kieszeniach, ruszył po ulicy, z ukosa wszędy zazierając.

Gregor, idący za nim, począł się bacznie owej podszewce surduta przypatrywać, ale nic nie dojrzał, to tylko, że była łatana i cerowana troskliwie.

Po chwili człowiek jakiś, palący fajkę przed domostwem, gdy go mijali, wstał i począł iść za nimi. Tak przeszli we trzech wieś, wcale się nie odzywając. Na drodze obcy wyprzedził Nikitę i on ich prowadził teraz.

Wsunęli się w gęsty bukowy gaj, potem w dębinę, gdzie już tylko ścieżka się wiała.

Nikita zagwizdał, przewodnik zawtórował mu i Gregor tę samą melodię powtórzył. Uczuli się spokojni, że trafili.

Wreszcie bór się rozrzedził i ukazała się leśniczówka.

Przewodnik wszedł do domku, studenci położyli się na trawie, z całą abnegacją czekając dalszego ciągu.

Gregor patrząc na schludne budowle, ład i dobrobyt tej osady, rzekł ponuro:

— Dożyją też wnuki twoje, żeby rodziny, co gniją po piwnicach, marzną po poddaszach, miały każda taką fermę i zdrowie?

— Ten wiek idzie! Czas gnić i marznąć panom! —

odparł chłop, dziko łyskając oczami.

Przewodnik ukazał się we drzwiach i patrzył na nich.

Wstali tedy i podeszli.

51

— Ludów dzwon? — rzekł leśniczy.

— Ziemia i Wola! — odparli obadwa.

— Znak!

Nikita nóż dobył, kołnierz surduta odpruł, wyjął spod szwa skrawek brudnego papieru.

Stało na nim: *Nikanon Hryniewicz — Nikicie Siemionow odda towar.*

— Spocznijcie i posilcie się. Zaraz pakę przyniosę!

Usiedli przy stole zastawionym przekąską i jedli jak wilki zgłodniałe. Potem bez ceremonii pokładli się na ławach i usnęli kamiennym snem.

O zmroku zbudził ich Hryniewicz.

— Gotowe! — rzekł. — Oto towar, granica o milę, noc będzie chmurna. Ruszajcie z Bogiem.

Nikita do pudła zajrzał i jedną z krasnych dziesięciorubłówek obejrzał.

— Łotry dobrze robią. Ani śladu, że ten Michał

Romanów Samozwaniec!

Zaśmiał się.

Wypakował fałszywe asygnaty w dwie torby, które sobie przez ramię przewiesił, obejrzał rewolwer, zapalił

papierosa i wyszedł.

— Granica tam? — spytał ręką wskazując.

— Mogę was zaprowadzić! — ofiarował się Hryncewicz.

— Nie trzeba czynić więcej nad rozkaz! Zrobiłeś swoje, idź spać! Reszta do nas należy. Pójdźmy, Gregor.

Nie pożegnali nawet leśniczego. Jak widma przepadli w gęstniejącym mroku.

Rychło wydostali się z lasu. Ława pustego, sfalowanego wiatcem piasku była między nimi a czerniejącymi het lasami Wołynia. Na tle tym czarnym gdzieniegdzie 52

błyskały ognie posterunków granicznych i majaczyły jałowcowe krzaki rozrzucone po piaskach.

Nikita nie zdradzał najmniejszego niepokoju. Zielone jego oczy szperały każdy cień i ruch; weszli w miałki piasek. Krok ich ginął bez szelestu, tamowali oddech.

Minęli ławę jasną, dotarli krzaków.

— Udało się! — szepnął Nikita.

Domawiał tych słów, gdy krzak się zaruszał. Czarna sylwetka granicznika stanęła przed nimi.

— Gdzie idziecie?... Paszport! — spytał przepitym, chrypliwym głosem.

— Idziemy, gdzie nam trzeba. Ustąp! — odparł Gregor wysuwając się naprzód, by uwagę draba zwrócić na siebie.

— Ruszajcie na posterunek!

— Nie mamy czasu!

Nikita, korzystając ze zwłoki, rzucił się w bok i przepadł

za krzakiem.

Strażnik podniósł do ust sygnałową gwizdawkę, Gregor pięść podniósł i uderzył go w twarz. Człowiek się zachwiał, ale i on pojął, że ten, co uchodzi, zwierzyną był. Ogłuszony razem, nie odpowiadał napastnikowi, lecz strzelbę z ramienia zdjął i za zbiegiem poskoczył. Dojrzał go przemykającego jak zwierz wśród zarośli, z błyskawiczną szybkością wziął na cel. Z błyskawiczną też szybkością poskoczył za nim Gregor. Lewą ręką, nie patrząc, uderzył

po lufie, prawą rewolwer wydobył i do boku granicznika przytknął. Dwa strzały i dwa jęki rozległy się jednocześnie.

Strażnik broń z rąk wypuścił, za bok się chwycił i padł

twarzą do ziemi. Gregor machinalnie do ust lewą swą rękę podniósł, czując ból wściekły. Dwa palce kula mu urwała, nim kędyś w piaskach ugrzęzła. Zaciąwszy zęby spojrzał, szukając Nikity. Nigdzie

go widać nie było. Tedy na 53

strażnika oczy zwrócił. Na ziemi się wił, pełznąć bezwiednie, drapiąc rękami piasek, bełkocąc; za nim pozostawała droga czarna, krew! Wyglądał jak krab potworny, wyrzucony na piasek.

Tam, w dali odzywały się gwizdy, tętent, głosy. Strzały zaalarmowały całą linię straży. Biegli towarzyszowi z pomocą. Instynkt zachowawczy zbudził się w Gregorze.

Zawrócił wstecz i uchodził spieszenie pod opiekuńcze skrzydła boru, cisnąc do boku okaleczoną rękę, z gardłem zaschłym, sercem bijącym i straszną zgrozą tej pierwszej ofiary jego idei, ofiary niewinnej, narzędzia, które zdruzgotał!...

Ten człowiek, pełzający w ostatnich odruchach konania, został mu głęboko w pamięci.

Już nad nim, tryumfujący, roztaczał swą moc ponurą Ahryman Zendawesty!

54

V

STARY I MŁODY GLEBOW

Sewer Sławicz począł wierzyć we wróżki i czarodziejów, w zaklętych królewiczów, w fantastyczne przygody bohaterów arabskich bajek. Droga z Kijowa do Petersburga snem mu się zdała, a przyjazd do stolicy upoił

go. Gdy wysiedli, on i generał Glebow, głowy poczęły się chylić, karki giąć, żandarmi salutować, a z tuzin galonowej służby otoczył ich wnet, z ust odgadując chęci. Szpaler policji utworzył się i środkiem ciżby, zalęklej, ciekawej, przechodził potentat śledztwa i szpiegów, nadęty, ponury, a za nim młodzieniaszek bardzo ładny, przebrany już w wykwintną odzież i ledwie trochę tylko nieśmiały.

Naczelnik trzeciego wydziału był pyszny.

W dzień wyjazdu do Kijowa odkryto tajną rewolucyjną drukarnię, złapano chłopca rozlepiającego socjalistyczne plakaty, ujęto podejrzaną osobistość obładowaną prochem, słowem policja dotarła do jądra kwestii, i jak pisały dzienniki, pozbawiła nihilizm głowy i przywódców.

Generał Glebow ośmielił się tedy prosić monarchę o prawo adoptowania nieprawego syna i uzyskawszy tę łaskę, wyjechał.

Tymczasem chłopiec od szewca, dziewczyna zecerka i drab o fizjognomii cyklopa idioty siedzieli głęboko pod ziemią, narzędzia podruzgotane, żywi, a już umarli! Wracali

teraz potentat i miał na obwisłych wargach zjadliwy uśmiech, w oczach, pod ciężkimi powiekami, żółtawe błyski tygrysiej złośliwości, w całej postawie tryumf 55

dokonanej zemsty. Ilekroć spojrział na Sewera, nadymał się jeszcze bardziej i sapał w radości

okrutnej. Człowiek ten hołdował dwom namiętnościom: śledztwu i pięknym kobietom. Teraz uczył trzecią: rozkoszował się rozpaczą swych spadkobierców na wieść o tym synu, którego sobie przyswoił. Zdawało mu się, że słyszy syk gadzinowy swych bratowych, które go wyśmiewały, bratanków młodych, którzy mu sprzed nosa sprząkali kochanki i w klubach opowiadali o jego niedołęstwie. Teraz on z nich zadrwi.

Sanie pyszne, zaprzężone w trójkę karych rysaków, czekały u peronu dworca otoczone kozakami i służbą.

Generał otulił się w sobole, podobnież kamerdyner podał

Sewerowi i ruszyli szalonym pędem do pałacu.

Tam w przedsionku, Glebow głos podniósł:

— Lewe skrzydło dla młodego pana. Marszałek niech idzie za mną po rozkazy.

Służba z azjatycką czołobitnością obstała Sewera.

Zaprowadzono go do jego apartamentów, opadli go fryzjerzy, krawcy, szewcy, jak lalkę poczęli stroić. A wszędy bezmierna uniżoność, pochlebstwa, spojrzenia błagające o łaskę.

— Młody pan! Młody pan! — biegło z ust do ust z podziwem, lękiem, nadzieją.

Sewer, z giętkością sobie właściwą, przejął nową rolę.

Ten nędzarz onegdaj, potrafił uchwycić ton wielkiego pana, potrafił dostosować do pałacu swe ruchy, wyraz twarzy, nabrał w jednej chwili pewności siebie i nie nacieszywszy się jeszcze zbytkiem, już minę miał, jakby się nim przesycił

i lekcewał jako rzecz sobie należną.

Wystrojony, wypiękniał i urósł. Głowę zadarł, usta w grymas pogardliwy ułożył, na cygara rublowe się krzywił.

56

W jednej chwili stał się Glebowem junior i niczym się nie zdradził, niczego niestosownego nie popełnił.

Gdy go wezwano do gabinetu generała, biedny student kijowski ustąpił miejsca eleganckiemu paniczowi, na którego Glebow popatrzył z widocznym zadowoleniem.

Siedział w fotelu ociężały, spasiony, z uśmiechem starego fauna na mięsistych wargach, w rękach, okrytych pierścieniami, przerzucając papiery. Odłożył je i wskazał

krzesło Sewerowi.

— Diable! patrząc na cię, widzę siebie sprzed trzydziestu laty. Ładny chłop byłem i wściekle do kobiet szczęśliwy. Takież miałem kędzierzawe włosy jasne i oczy błękitne. Uderzająco jesteś do mnie podobny.

Sewer spojrzał na niego i nieznacznie się skrzywił.

— To dowód, jak moja matka dobrze pana zapamiętała!

— odparł dość swobodnie.

Generał się roześmiał. Podobała się despotcie niefrasobliwość młodego.

— Nie nazywaj mnie panem. Czy nie wyglądam na ojca dorosłego syna? Zestarczysz mnie wobec kobiet, ale cóż robić. Grzeszki młodości! Zresztą, niech moi spadkobiercy się wściekają. Nazywaj mnie jak najczęściej ojcem!

Dlatego mam jeszcze parę kwestyj z tobą do załatwienia.

Ochrzczono cię po katolicku?

Sewer głową skinął.

— Trzeba to zmienić. *C'est mal vu!**

Młody sekundę się zawahał. Przez tę sekundę mignęła mu w myśli sylwetka Świdy klękającego codziennie do pacierza, znoszącego z dumną godnością prześladowanie swego wyznania, chełpiącego się cierpianą

* *C'est mal vu!* (fr.) — To źle widziane!

57

niesprawiedliwością.

— Cóż to, dewot jesteś, fanatyk, baba? — zaśmiał się ironicznie generał. — Cha, cha! Prowincja cuchnie od siebie!

Sewer poczerwieniał, dotknięty w próżności.

— Ja i wyznanie! To śmieszne zestawienie! Jakakolwiek religia jest dla mnie martwą literą. Nie wierzę w żadną i dlatego nie cierpię wszelkich ceremonij odbywających się w kościele, mniejsza w którym!

— Ale o tym mowy nie ma! To się załatwi tutaj, w tym samym gabinecie. Chodzi o to, abyś należał do panującego kościoła. Dalej zwolniony jesteś od wszelkich religijnych ceregieli. Dobre to dla pospólstwa.

— Naturalnie! — potwierdził z przejęciem Sewer.

— Następnie, z łaski najjaśniejszej, przyjęty jesteś jako kornet do Złotej Gwardii. Łaska to wielka, dla mnie uczyniona. Już w zbroi wiernego sługi i poddanego, przedstawię cię najwyższemu obliczu! Cha, cha! Marzyłeś ty kiedy o podobnym szczęściu?

Znowu Sewer sekundę milczał. Druga sylwetka przemknęła mu w myśli, olbrzyma Gregora, demonicznie piękna, miała zapach bohaterstwa i wielkiego swobody ruchów odrodzenia.

Machinalnie, czując wzrok generała na sobie, potwierdził:

— Tak, nie marzyłem!

Ale oczu nie podniósł długą chwilę.

— Te dwie rzeczy załatwiwszy, jesteś *à flot** w Petersburgu. Zanim cię nie poznam, czerpać możesz bezkarnie u mego bankiera i robić, co się podoba. Dwóch

* *à flot* (fr.) — wolny jak ptak.

58

rzeczy nie znoszę: kart i demokracji. Jeśli się tego strzec będziesz, pozostaniemy w najlepszej komitywie. Jeśli nie, stracisz wszystko, odeślę cię do dóbr w Samarze i tam odpokutujesz, ile mi się podoba. To koniec mych rad i wymagań. Masz swe apartamenty, konie, służbę, pieniądze, młodość, piękność. *Un, deux, trois, capitaine et roi!*^{*}

Koledzy cię nauczą reszty, kobiety nie dadzą próżnować, ja zaś zamawiam cię tylko niekiedy na oficjalne wizyty.

Sewer wstał i odrzucił głowę ruchem dumy wyzywającego zuchwalstwa.

— Ano, dam sobie radę. Dziękuję ojcu.

— Jeszcze jedno. Masz imię nieprawowierne. Może się drugie w metryce znajdzie. Ejże, nie nazwała cię matka Piotrem?

— Nie. I imienia nie oddam ojcu! Zanadto je kobiety lubią!

— Przed taką racją, czołem! Mniejsza, mało kto potrzebuje wiedzieć imię młodego Glebowa. A zatem jesteśmy w porządku. Chodźmy na obiad.

Oparł się ciężko na młodym ramieniu i poszli oświetlonymi salonami do pysznej jadalni.

Taki był wstęp do nowego życia.

Po tygodniu odbyła się abiuracja wiary, przyjęcie do pułku, pasowanie nowicjusza na rycerza

salonów i nie salonów.

Nic się nie szczepi łatwiej jak rozpusta, nic nie zaraża gorzej jak towarzystwo. Po paru miesiącach z dawnego Sewera i atomu nie zostało, ani pamięci nawet poprzednich idei i stosunków, ani drgnienia charakteru, ani sekundy rozmysłu. Zresztą on nie miał czasu myśleć. Rajszula,

* U n , d e u x ... (fr.) — Raz, dwa, trzy, z kapitana król.

59

służba, stosunki towarzyskie, teatry, półswiatek, pijatyki z kolegami, noce strawione na hulance, dni gorączkowe.

Pochlebiało mu, że zwalczał paniczów zużytych we wszelkich ekscesach; pijany był powodzeniem, pochlebstwy, nadszyciem całego świata, łaskami kobiet, nimbem swego nowego nazwiska.

Lubiono go też i dla niego samego. Za świeżość sił, za wesołe, żartobliwe usposobienie, za łatwość, z jaką zastosowywał się do każdego, za niewyczerpany zapas projektów hulanki i konceptów. Ślizgał się przez życie nikogo nie obrażając, sam, zda się, razem niedostępny.

Ojcu był posłuszny. Nie grał w karty i obracał się tylko w kołach najwyższych, wszystko co małe, biedne i podwładne traktując bezwzględnie i pogardliwie.

Zresztą Glebow senior mało się synem zajmował. Po tryumfie opadły go niepowodzenia. Owi trzej tak trudno zdobyci i drogocenni socjaliści pewnej pięknej nocy zniknęli jak kamfora, w osłupieniu pograżając swych stróżów, drwiąc z rygli i murów 'i uwodząc z sobą dozorcę więzienia. Tegoż dnia Glebow znalazł w swej karecie drukowaną odezwę, w której przemysł prochu, zecerka i terminator szewski składali mu podziękowanie za wygodę i kwaterę, jako też stanowcze pożegnanie. Generała wprowadziło to w szal wściekłości.

Sądny dzień działał się w jego kancelarii. Płazowano i bito stróżów, zdegradowano jednych, wsadzono do kozy innych, pojmano tysiące niewinnych osób, ściągano zeznania z każdego, kto się nawinął, zrewidowano tysiące mieszkań, powiększono liczbę tajnej policji, zapisano tomy sprawozdań i wreszcie ogłoszono drukiem, że socjalizm to towar zagraniczny, w Rosji nie produkowany ani znany.

Wszystko tedy odbyło się dawnym trybem i powróciła 60

cisza. Generał tylko naciął w pamięci nowy karb na nihilistów, a nie mając świeżych ofiar, wyrobił obostrzenie kary tym, którzy nie mieli więcej światła Bożego oglądać w życiu i gnili pomalu.

A na świecie panowała cisza głucha, ponura! Ciszy tylko Sewer nie czuł.

Lato minęło szybko i jesień przyniosła znowu bale, znowu zamęt, którym połowa świata zabija czas, próżnię życia, często rozpacz lub sumienie. Hulał Sewer na zabój, tygodniami całymi nie pokazywał się w domu, był

wszędzie i nigdzie.

Pewnego ranka, po całonocnej biesiadzie w jakimś zimowym ogrodzie podmiejskim, zmęczony, półżywy, otrzymał wezwanie od ojca, by się stawił w ważnym interesie. Pismo przyniósł żandarm i wedle rozkazu nie ustąpił, aż go usadowił w powozie. Po przybyciu do domu, Agafon, przyboczny sługa generała, czekający w przedsionku, nie dał mu chwili wytchnienia.

— Jego wysokość raczy czekać! — rzekł dobitnie.

Sewer poszedł ziewając, w najgorszym usposobieniu, rozżalony na taką krzywdę, którą wyrządzano jego swobodzie.

I generał wyglądał, jakby się nie kładł tej nocy. Miał na sobie mundur paradny i wszystkie ordery.

— Bodajże cię! Od wieczora czekam i szukam. Łatwiej złoczyńcę wytropić niż ciebie!

— To dowód, że ojca wyżły nie mają węchu. Używam stale jednych perfum! — odparł apatycznie młody rzucając się w fotel.

— Ależ zmachałeś się! — zaśmiał się generał patrząc na niego. — Patrzcie na tych młodzików. Do czego to podobne po pół roku!

61

— Niech mi ojciec nie mówi impertynencyj. Trochem nie dospał i basta. Ciesz się, że mnie policja znaleźć nie umie. Co za pyszny byłby ze mnie nihilista.

Ziewnął śmiejąc się.

— Rzeczywiście, zanadto żyjesz! Czas nieco się uspokoić.

— Co? Już? Chce mnie ojciec wysłać do Samary?

— Może nie... jeśli wybierzesz drugie.

— Tak! A to drugie?

— Musisz się ożenić!

— Ożenić? Ale z mężatką! Nie cierpię panien!

— *Tiens, tiens!* — gwizdnął cynicznie stary. — Ja zaś dotychczas lubię tylko panny!

— Ojciec widocznie lubi kurczęta i cielęcinę, ja zaś wytrawnego burgunda i angielski befsztyk! Ano, to szczęśliwie, nie będziemy rywalizowali!

— Ożenię cię z panną!

— Po co? Niech ojcu służy. Przecież ojciec też może sobie na ten zbytek, żonę, pozwolić. Ja bym

nawet wolał

ojca niż siebie, będąc panną.

— Ano, jam proponował, ale wybrano ciebie. Przyjmij twój los z pokorą.

— Jak to! Wybrano mnie? Któż to taki?

— Hrabianka Gizella.

— Hrabianka Gizella! — powtórzył Sewer.

Umilkł, pomyślał, spojrział na ojca i wreszcie roześmiał

się beczelnie w twarz starego.

— Ano, to inna kwestia. Po co ten wstęp cały? Ojciec traktuje mnie istotnie jak naiwną pannę. Mówmy jak ludzie dojrzały. Mam być kulisą, nazwiskiem i osobą pokryć głośną tajemnicę, zatrzymać hrabiankę w Petersburgu, nie wtrącać się do niej, zamknąć oczy i uszy, i żyć dalej, jak 62

żyłem? Co za szyld będzie ze mnie! Ciekawym, co też dostanę w zamian?

— Rangę, łaskę nieograniczoną i milion funduszu panny! Zresztą jednym zamachem i mnie zobowiązesz!

Wziąłem na się ten interes. Pojutrze bal maskowy u hrabiostwa. Wtedy się zbliżysz i poznasz. Dalej pójdzie jak z płatka.

— Dlaczegoż więc dzisiaj ojciec mnie tą nudną historią truje? Będzie jeszcze tyle czasu. Dalibóg, nie pamiętam, jak ta dziewczyna wygląda.

— Piękna jest, przepyszna!

— To się rozumie! Dla pospolitej nie robi się tyle zachodu i tak długiego wstępu. Aaaa! Jak mi się spać chce.

Dobranoc ojcu!

Przeciągnął się i wyszedł.

Teraz dopiero z mnóstwa kobiecych twarzy poczęły mu się uwypuklać rysy owej przeznaczonej. Była to jedynaczka, córka zagranicznego magnata, którego obowiązki służbowe chwilowo zatrzymywały w Petersburgu. Powoli przypomniał sobie Sewer, kto najgorliwiej koło niej się uwijał, a potem i to mu przyszło na myśl, że mówiono o rychłym wyjeździe magnata z powodu właśnie dość dwuznacznych plotek i komentarzy.

Gdy zasypiał, jak żywa, w pół śnie, pół jawie, stanęła przed nim smukła postać bardzo młodej

dziewczyny o marzących aksamitnych oczach. Te oczy często spotykał utkwione w siebie na balach. Tańczył rzadko z nią i zaledwie parę słów banalnych zamienił. Nie wydała mu się ani ponętną, ani zabawną w porównaniu do światowych, dojrzałych dam.

Zresztą i wśród tych dam była jedna, której zalotność i wdzięk szatański pochłonęły nawet nieuchwytnego Sewera.

Od jesieni trzymała go, wabiła, drażniła, doprowadzała do 63

szau. Opętany był ten lew salonów. Wobec tego uroku co znaczyła młodziutka, sentymentalna dziewczyna?

Dowiedziawszy się, że jego wybrała, że go dostanie oficjalnie, że może dumną będzie z tego posiadania, uczuł

do niej nienawiść i odrazę za to, że to nie tamta była. Usnął

z silnym postanowieniem odmówienia ojcu stanowczo.

Nazajutrz jednak oswoił się z tą myślą, a raczej zapomniał, porwany wirem życia. Otrzymał masę bilecików anonimowych na bal maskowy, to go ostatecznie pociągnęło na tę zabawę, mającą być wstępem do małżeństwa. Gdy ojciec doń wstąpił nazajutrz wieczorem, poznał po twarzy młodego, że zbyt jest czymś innym zajęty, by mieć silną wolę oporu. Kapiący od złota gwardzista nakładał już rękawiczki; obok, na stole, starannie przechowana w wilgotnym mchu, leżała gałązka bzu perskiego.

— Czy to kwiat od kogoś, czy dla kogoś? — spytał stary libertyn.

Sewer mocno poczerwieniał.

— Przysłano mi bez nazwiska! Nie wiem! — odparł

chowając spieszenie kwiat do kieszeni.

— Może chcesz, moim wyżłom daj do powąchania.

Odnajdą rychło ofiarodawczynię!

— Ech, nie warto! — zbywająco rzucił Sewer.

— Jedziemy zatem w swaty!

— Ach, prawda! Proszę ojca o swobodę do jutra!

— Potrzebujesz się poradzić kogoś? Owszem.

Gdy weszli, salony już były pełne. Glebow chciał

doprowadzić syna do hrabianki, ale chłopak mu zginął w tłoku masek i mundurów. Lawirując, opędzając na wszystkie strony od zaczepek, kierował się gwardzista do oranżerii, obszedł zakątki pomarańczowe, zajrzał na ławki 64

osłonięte równikowymi paprociami i wreszcie stanął, niby w podziwie, przed jakimś kwiatem. Opodał na ławce dwoje ludzi rozmawiało z cicha i bardzo żywo. Była to sprzeczka.

Kobieta uderzała wachlarzem po liściach, potrząsała głową, przeczyła; mężczyzna coś jej przekładał, o coś nalegał.

Maska okrywała oczy damy, ale miała na sobie liliowe domino i gałązkę perskiego bzu u ramion. Sewer znalazł, czego szukał.

Kobieta miała kształty nadzwyczaj piękne, arystokratyczne ręce i karnację bladej róży; spod koronki błyskały mocno pąsowe usta, zza maski widać było demonicznie piękne oczy. Ujrzała i ona Sewera, i kończąc rozmowę podniosła głos do sąsiada:

— Tymczasem dosyć tego, Platonie. Zarzynasz mnie twymi dowodzeniami. Jeśli mi się uda, i owszem, ale niczego nie obiecuję! Idź sobie, chcę się bawić.

— W każdym razie nie zapomnij o mnie, siostrzyczko!

— Nie zawiodłam ciebie dotąd!

Mężczyzna wstał, ucałował jej rękę i odszedł. Dama powolnym ruchem zdjęła maskę i spojrzała na Sewera.

Podszedł i skłonił się.

— Omal się hrabia nie spóźnił — rzekła z dąsem. —

Zaraz odjeżdżam.

— Mam obiecany kotylion.

— O, ja lubię dotrzymywać tylko tego, czego nie obiecywałam. Zresztą Platon mi zatruł wieczór.

— A zatem wierny i w niełasce, parę słów tylko rzucę.

Hrabina wie, że się żenię?

— Bardzo żałuję przyszłej żony hrabiego. Któż to?

— Hrabianka Gizella!

— Ha, ha, ha! Więc to na hrabiego przypadł los konserwatora drogocennych depozytów? Jesteś osobą 65

wzbudzającą aż tak wysokie zaufanie? Winszuję!

— Dziękuję pani!

Sewer znowu się skłonił, rozdrażniony szyderstwem.

Wieścią tą myślał zwalczyć chłodną kokietkę. Myślał, że zechce skorzystać ze swego wpływu i zabroni mu.

Zawiedziony, ostygł nagle. Głuchy gniew w nim wzbierał.

Kobieta patrzyła nań drwiąco.

— Nie róbże, hrabio, takiej wścieklej miny. Przygotuj się do nowej roli, łagodnego, bezstronnego świadka, a tymczasem usiądź, proszę!

Usłuchał nadąsany. Zaleciał go zapach perfum; na ciasnej kanapce opierali się prawie o siebie.

— I to wszystko, co mi pani powie? — mruknął

poczynając drzeć.

— Cóż więcej? — ruszyła ramionami. — Śmieję się!

— Patrząc, że ja cierpię!

— Wolę sama nie cierpieć!

— I nie kochać?

— Naturalnie!

— Pani jest gorszą od kata!

— Doprawdy? Dziękuję za porównanie. Pan zaś jest naiwniejszy od dziecka.

— Dlaczego?

— Bo pan cierpi nad moją wesołością. Żebym ja panu wybierała żonę, wybrałabym tylko hrabiankę Gizellę. To mi dogadza.

— Bo?

— Może się pan domyślać i kombinować. Słyszysz pan, coś grają. Czas nam się ukazać. Ruszaj pan i pomów z hrabianką. Ma złote domino na sobie.

Wstała, włożyła maskę, i zanim się opamiętał, już jej w cieplarni nie było.

Ruszył opieszale ku salonom, gdy mu drogę zastąpił

generał–ojciec.

— Mówiłem już z hrabią! — rzekł. — *L'affaire est dans le sac!** Ty załatwiłeś się z dziewczyną?

— Wcale nie i straciłem ochotę.

— Jak chcesz, ale jutro wyjedziesz do Samary bez grosza! Nie znoszę żartów w poważnej sprawie!

Sewer popatrzył mu w oczy i zadrżał. Zrozumiał, że był

wzięty w sieć bardzo mocną, trzymano go tym, bez czego już by żyć nie potrafił — pieniędzmi.

Schylił głowę pobity i pokorny.

— Zapłacę jej za to! — zamruczał wściekły, kierując się w stronę złotego domina.

Zapanował jednak rychło nad sobą, zaczął z uśmiechem zamaskowaną i zamieniwszy parę słów banalnej rozmowy, zaprosił do walca.

Po przetańczeniu podał ramię i poczęli się przechadzać.

Dziewczynę nie bawiło udawanie, milcząca była i jakby załękła. Wreszcie nieśmiało się odezwała:

— Pan hrabia mnie poznał. Ja tak nie lubię udawania.

Proszę więc być sobą i rozmawiać nie z maską.

Co za gąsiątko! pomyślał z niesmakiem. Jakie szczęście, że ja jej wyznania miłosnego nie będę czynił.

W ogóle rozmowa się nie kleiła. On był znużony, ona widocznie zbyt przejęta. Nie wiedział, że patrzyła nań rozmarzonymi, tęsknymi oczami pierwszego serdecznego zajęcia. Patrzyła i potem, gdy odszedł pozbywszy się obowiązku, ścigała go w kotylionie. On już o jej istnieniu zapomniał, roznamiętniony tańcem z hrabiną Zitą.

Zdyszani oboje, rzucali sobie krótkie słowa i spojrzenia.

* *L'affaire* ... (fr.) — Sprawę mamy w kieszeni!

Ramię Sewera zaciskało się wokoło jej toczonej kibici. Już się nie śmiała. Usta jej płonęły ogniem, oczy obiecywały rozkosz. W pół kotyliona zabrakło tej pary.

Po ustach wielu tańczących przewinął się dyskretny uśmieszek, tylko Gizella niczego nie pojęła.

W parę dni potem generał znowu wezwał do siebie syna.

— Czas już, byś się osobiście oświadczył. Hrabia tego czeka! — rzekł z naciskiem.

— Jeżeli się to nie może beze mnie obejść, to służę!

— Schowaj do kieszeni swą minę ofiary. Musisz przecie zjednać sobie dziewczynę, okazać i powiedzieć, że kochasz! Jest podobno sentymentalna. Ty zaś potrafisz na obstalunek roz—kochać ją!

— Naturalnie, to żadna fatyga. Niech mnie tylko po ślubie nią nie traktują.

— O to się nie troszcz.

Poszedł tedy Sewer z oświadczeniami. Rodzice przyjęli jedynaka milionera bardzo skwapliwie, a po trzech wizytach wyznała Gizella matce, że jest nad wyraz szczęśliwą. Narzeczony znosił kwiaty i książęce podarki, był *correct* w każdej chwili, okazywał troskliwość i zajęcie.

Jednocześnie romans Sewera i hrabiny Zity stał się faktem jawnym i bajką modnego świata stolicy. Nie zadawali sobie nawet trudu ukrywania. U hrabiny była to bezczelność i chęć zgnębienia rywalki; u Sewera chęć wykręcenia się od nienawistnego małżeństwa. Myślał, że słuch dojdzie do Gizelli i jej rodziców, wywoła skandal, oburzenie i zerwanie związku. Ale, jak zwykle w takich razach, osoby najbardziej zainteresowane pozostawały w nieświadomości. Oszczędzano ich. Jedni milczeli przez obojętność, inni przez satysfakcję dopomagania złemu, reszta przez lęk Glebowa. Nie wiedziała tedy Gizella, że 68

ten piękny gwardzista towarzyszący jej na balach, prawiący słodkie słówka czuł do niej prawie wstręt, myślał o innej, a był tylko przynętą rzuconą przez zręcznego rybaka. Młoda, czuła, ufna, szła za nim z rozkoszą, kwiatom, gwiazdom, ptakom szepcząc swe zwierzenia o szczęściu. W styczniu ślub się odbył. Glebow chciał go mieć na miejscu, w soborze, przy asystencji dworu i dygnitarzy.

Lecz wtedy raz pierwszy poznał, że z synową przyszłą będzie miał niełatwą robotę. Hrabianka zażądała stanowczo katolickiego ślubu.

Generał wyszedł wściekły i zaraz napadł na syna:

— Słyszałeś, ona mi stawia swe ultimatum! Cóż to, myślisz, że ja jej słuchać będę? Sewer się roześmiał.

— Ano, ojciec myśli może, że wasi żandarmi wszędzie dadzą radę! Iluzje! Trzeba się skurczyć, prosić klechów katolickich o ślub, bo mi się widzi, że nie bardzo mile mnie przyjmą.

— Doprawdy? Źle ci się widzi. Im się każe i basta!

— Niech więc to ojciec załatwi, bo ja nie ciekawym posłyszeć od nich tego, co powiedzą!

— Nie ośmiela się! Bądź spokojny!

— Zresztą to się załatwi! — rzekł obojętnie Sewer, podczas gdy chmura obejmowała jego twarz. — Ale czy ojciec jest zupełnie pewnym, że wykona się równie gładko dalszy ciąg programu?

— Cóż to znowu? Pozwoliłeś sobie może zakochać się w niej?

— To nie, ale ona mnie kocha, i bardzo wątpię, czy będzie komu innemu łaskawą. To ojcu wcześniej powiadam, abyśmy nie wpadli w pułapkę, którą sami stawiamy. Popsujemy żywot jej, mój, a nie spełnimy zadanie.

69

— Brednie! Nie ma kobiety, co by to odrzuciła. Zbyt piękne masz o sobie wyobrażenie!

Sewer zaśmiał się szyderczo.

— Niech mnie ojciec w tym razie nie wyzywa. Może pójdziemy o zakład.

Generał się przeraził.

— Dajże pokój głupstwu. Dostyc masz rozsądku, aby nie ściągać gromów na moją i twoją głowę. Teraz idźże do tej głupiej i staraj się ją namówić do naszego ślubu.

Sewer ociągając się poszedł.

Długi czas o zmroku rozmawiali z hrabianką. Z czułego i wesołego ton rozmowy zszedł na poważny. Gwardzista coraz się stawał bardziej milczący i zadumany, Gizella coraz wymowniejszą. Sewer poczuł, że nie lalka to jest i nie dziecko, ale istota zasad pewnych, pojęć jasnych, stała a łagodna, kochająca, ale z całym poczuciem obopólnych obowiązków. Chwilami czerwienił ze wstydu, to bladł ze strachu, to się wzdygał buntem, i tak pochylony, rękę jej machinalnie trzymając, milczał myśląc, że się srodze zawiedli.

Gdy przyszedł nazajutrz do generała z relacją swej misji, ponury był i rozdrażniony.

— Ładnegośmy się kłopotu napytali! — burknął. —

Ślub odbędzie się w Wiedniu. Niech się ojciec nie stara opierać. Inaczej być nie może.

— A po ślubie wracacie natychmiast tutaj?

— Naturalnie. Byle prędzej to pozbyć. Bylebym jej nie potrzebował w oczy patrzeć. Popelniamy ohydę.

Widząc jego niechęć, generał starał się wszystko gładko załatwić.

W każdym razie był to dlań piękny dzień, gdy ujrzał

Votivkirche, połączonych już na życie przysięgą i obrączką ślubną. Glebow głęboko odetchnął i z niekłamany zapalem uściskał syna.

Tegoż dnia, pozorując obowiązkami służbowymi, Sewer uwiózł żonę do Petersburga. Rzeczywiście powoływała go służba hrabiny Zity, a przy tym nie mógł patrzeć w oczy Gizelli, w te oczy fiołkowe, słodkie, głębokie, a takie czyste i prawe.

W pysznym pałacu Glebowa rozpoczęło się nowe życie hrabianki. Świat spodziewał się scen i skandalów, widząc, że Sewer w niczym dawnego trybu nie zmienił, ale zawiodły się tym razem ludzkie języki i ciekawość. Pałac był cichy, żadna zeń nie wyszła plotka, najciekawszy nie dostrzegł niczego podejrzanego. W parę tygodni po ślubie Gizella zachorowała ciężko, miesiąc walczyła ze śmiercią, potem ukazała się znowu w świecie, przyjmowała i składała wizyty, bywała na balach, spełniała z uśmiechem i spokojem obowiązki swego towarzyskiego stanowiska.

Z młodej dziewczynki stała się wielką damą i nikt nie dojrzał w niej najmniejszego cienia, śladu złamania, zawodu, wiedzy nawet tego, co się działo wkoło niej.

Czas zbywający od przyjęć i świata poświęciła ubogim, chorym, dziatwie bezdomnej; opatrnością była nędzy, należała do wszystkich filantropijnych zakładów, zyskała rychło popularność dobrodziejstwa. Z mężem zaledwie się widywali chwilowo. Z taktem i miarą unikała wszelkich wyjaśnień i scen przykrych. Nie rzekła doń nigdy dwuznacznego słowa, ale też nie spojrzała nigdy w oczy, nie odezwała się serdecznie.

Bywali razem, jeśli tego wymagał obyczaj świata, rozmawiali z sobą ściśle tyle, ile wymagała konieczność, i żyli tak pod jednym dachem, rozdzieleni otchłanią 71

obojętności jego i jej głęboką niechęcią za zdradę i kłamstwo. A Sewer szalał jak przedtem.

Mówiono, że nigdy dotąd hrabina Zita nie była tak długo dla jednego łaskawą; zazdrozczono mu, winszowano. On, upojony tryumfem, stracił wszelką miarę i równowagę.

Występowali wszędzie razem, afiszowali się beczelnie, doszło do tego, że zażądała, by żonę do niej wprowadził na bal zapustny, gdzie w żywych obrazach ona miała być Ariadną, on Bachusem.

Był nietrzeźwy, gdy z tą propozycją przybył do Gizelli, nie pojmował, co czyni. Ona wysłuchała go spokojnie, purpura krwi objęła jej przezroczyście skronie, milczała sekundę.

— Niestety, być nie mogę — odparła wreszcie. — Mam sesję przytułku pod prezydencją najjaśniejszej pani, właśnie w ten dzień.

Pijany zaśmiał się cynicznie.

— O! muszę zatem ustąpić! Czy to będzie pierwsza schadzka? Po cóż tyle zachodów? Pałac jest wolny. Ta filantropia zbyt jest maską.

Gizella tym razem zbladła jak ściana.

— Pałac wolnym nie jest, bo w nim mieszka mój honor.

Wyjdź pan.

Otrzeźwiał nagle i wyszedł, palącego wstydu pełen. Pod gankiem spotkał ojca siadającego do sanek.

— Jedź ze mną — rzekł generał — pokażę ci coś ładnego.

— Coś ładnego, czego nie znam? Tego nie ma w Petersburgu.

— Ano, zobaczysz. To moje. Ruszaj do Arkadii, Anika!

Wysiedli przed francuskim teatrykiem.

Tam pokazał synowi aktoreczkę młodą, produkującą 72

swój cienki głos i delikatne kształty przed publiką półpijaną.

— Tam do licha! — mruknął Sewer — A toż nasz kijowski „Kwiatek Lnu”, w karykaturze naturalnie.

— Kto taki? — zagadnął ciekawie generał.

— To stare wspomnienie. Miał jeden z kolegów w Kijowie dziewczynkę cudo! Przypomniała mi ją ta, jak małpa przypomina człowieka. Biała, smukła, z buzią koralową, zębami jak perły, a takich oczu błękitnych nie widziałem nigdzie, u nikogo. Kolega też ją kochał

wściekle, a strzegł jak Turek.

— Jak się zwała?

— Nie wiem.

— Diabło mi się jej chce. Ejże, zrób mi prezent i odszukaj ją.

— Sfiksował ojciec. Po pierwsze, za młodym na handlarza niewolnic, a po drugie lubiłem kolegę i nie myślę mu odbierać skarbu. To cała jego własność na świecie.

Niech trzyma.

— *Décidément**, nie chcesz mi zrobić przysługi! —

burknął generał.

— A to ojciec chciwy.

— Mogę sobie dogodzić.

— I owszem. Ale ja pośredniczyć nie mogę.

— Nie możesz? — zaburczał Glebow.

Nie znosił oporu ani przeszkody w swej chęci. Sapał i umilkł, coś złego obmyślając w swej tygrysiej głowie.

Już Sewer dawno o tym epizodzie zapomniał, gdy pewnego dnia generał wezwał do siebie służbowego adiutanta.

* D é c i d é m e n t (fr.) — Zdecydowanie...

73

— Wziąć pod nadzór Platona Donatowa! — rozkazał.

— Pod nadzór tajny?

— Tak. Rzucić tylko prywatnie o tym ostrzeżenie na Fontankę do jego siostry, hrabiny Zity.

Oficer się skłonił i wyszedł.

Glebow, jak pająk, sieć rozpiął i w środku niej zaczajony czekał. Trafny miał węż stary szpieg i intrygant.

Już nazajutrz Sewer się doń zjawił, niespokojny, rozdrażniony, ale widocznie pokorny.

— Czy to prawda, że Platon pod nadzorem? — spytał, nie umiejąc dyplomatyzować.

— Co za Platon?

— Donatow.

— A tak. I to dopiero początek. Będzie z nim źle.

— Dlaczego?

— To socjalista.

— Brednie!

— Może być. Ale takie brednie prowadzą do petropawłowskiej fortecy albo i dalej.

— Ojciec tego nie uczyni. Platon zabawia się dzikimi mrzonkami, bez żadnej szkody dla istniejącego porządku rzeczy.

— Niech się nie zabawia — zimno rzekł generał, bębniąc palcami o stół. — To będzie go drogo kosztowało.

— Ojciec niech dla mnie to uczyni i da mu pokój.

Wyjedzie za granicę.

Glebow przez nawisłe brwi śledził obłoczki dymu z cygara.

— Nie wyjedzie już — wycedził z satysfakcją kata.

— Co ojciec chce za wypuszczenie Platona? — drżąc cały spytał Sewer.

Glebow począł pogwizdywać przez zęby i uśmiechać się 74

złośliwie.

— Mógłbym zażądać hrabiny Zity — wycedził — ale będę wspaniałomyślnym. Przyjmę „Kwiatek Lnu” z twych rąk.

Sewer otarł pot ze skroni, wzdrygała się w nim reszta szlachetności.

— To gorsze niż tamto! — zamruczał.

— Jak sobie chcesz — odparł stary i przechodząc do innego tematu, spytał:

— Czy będziesz dzisiaj na służbie w Gatczynie?

— Daj mi ojciec rozkaz uwolnienia do policji —

zawołał głucho Sewer.

— Ty daj słowo, że za miesiąc będę miał dziewczynę.

— Wiem przecie, do czego się zobowiązuję.

Generał rzucił na papier słów kilka i podając zaśmiał się cynicznie.

— Jak pomyślę, co ty za to dostaniesz, czuję, że się oszukał — rzekł.

Sewer nic nie odparł. Czuł, że popełnia ohydę, zrywa ostatnie ogniwo duszy.

75

VI

HODUJĄ SIĘ KATY ZAMIAST MĘDRCÓW

Biała i mroźna była Rosja, nagi i pusty dworzec kijowski, nad ziemią śnieżna zadymka. Pociąg przywiózł

nielicznych podróżnych, noc była głucha.

Na zaśnieżoną platformę, wprost nieruchomego jak kariatyda żandarma wyskoczył z wagonu młody, przyzwoicie ubrany mężczyzna i skierował się do sali trzeciej klasy. W tłoku żołnierstwa i robotników rozejrzał

się bystro i głos podnosząc zawołał:

— Aleksy!

Głos miał takie metaliczne, pełne brzmienie, że bliżsi się obejrżeli, a tymczasem gdzieś z kąta potworna postać kaleki Maksymowa wypełzła i stanęła przed wołającym, żywy kontrast brzydoty i piękna, nędzy i mocy.

Podali sobie dłonie. Maksymow promieniał radością.

— Czekaliśmy ciebie pojutrze, Gregor — szepnął.

— Pojutrze przybędzie ten dla policji! — odparł podobnie przybyły.

Wyszli z dworca, a minawszy sanki i dorożki, szli przeciw wiatru i śniegu, obojętni.

— Dużo naszych jest gotowych?

— Tysiąc zuchów. Czekamy ciebie.

— A Nikita?

— Nie ma. Poszedł przed pół rokiem w katorgi.

— Kąty! Ceniłem go.

— A Sewer z nami? — znów spytał.

— O, Sewer. Ten przeciw nam, rodzony syn Glebowa!

76

— Lubiałem go! — szepnął głucho Gregor. Szli czas jakiś w milczeniu.

— Świdy nie ma?

— Nie ma. Kędyś w swoim kraju, w mieścinie od wioski mało co lepszej, praktykuje. Mógł tu mieć świetne miejsce, nie zechciał.

— Szanowałem go.

— Słusznie. Choć on nie nasz.

— Któż tutaj zastąpił Nikitę?

— Achaczeńko.

— A ty, co porabiasz?

— Ja czekałem na ciebie. Czy tu zostaniesz?

— Nie, przejeżdżam tylko w drodze do Petersburga.

— Zabierzesz mnie z sobą?

— Zabiorę.

Maksymow zaśmiał się jak dziecko.

— Teraz do klubu ruszaj i zwołaj naszych. Będę tam za parę godzin.

Stali na górze i śnieg padać przestał. Gregor się zatrzymał, wokoło obejrzał.

— O Rusi moja zdeptana, będziesz wolną! —

zamruczał, w ciemności daleki wzrok topiąc, głęboko wciągając powietrze.

— Idź, Aleksy! — powtórzył. — Niech mnie czekają.

Kaleka posłuszny odszedł.

Gregor pozostał tak chwilę zamyślony. Ciemności mu się rozsuwały i obraz cudowny wolnego świata występował

z chaosu. Zdał mu się tak bliskim, że omal go ręką dotykał, zdrowy puls ludzkości słyszał.

Powoli począł iść dalej. Oddech kraju, co go upoił po paru latach niewidzenia, poczynął go oblatywać, a w duszy opętanej ideą głos człowieka się odzywał, głos młodości, 77

szczęścia. Po dwóch latach wracał do swego, do swojej!

Zobaczy ją, nie pisała od dawna. Sekundę zabawi, duszy dogodzi, zanim znowu pójdzie w bój — w pracę.

Nie patrząc trafił, same nogi go wiodły po znajomych zakrętach, sama ręka znalazła klamkę bramy, dzwonek na schodach. Otworzono mu, spojrzął, była to stara Marta Czymbajew z nieodstępnym w ustach papierosem. Poznała go i klasnęła dłońmi.

— To ty, hołubczyk! Ach, Boże mój! Nie było ciebie w porę, nie było!

— W jaką porę, matuszka Marta?

— Żeby ją zatrzymać!

— Kogo? Ją?

— Dziewczynę!

— Dziewczynę? Gdzie ona?

— Porzuciła mnie. Nie puszczałam! Zła była, niepocziwa, głupia!

— Nie ma jej? — rzekł Gregor spokojnie.

— Gdzież! Pisałam do ciebie, ale nie znalazłam adresu.

List dotąd leży! Pół roku sama jestem!

— Nie ma jej! — powtórzył młody człowiek. Stara, rada z okazji poczęła rozwodzić żale.

— Zaczął się tu kręcić jakiś młody. Odprowadzał ją z fabryki, czatował na rogu ulicy, wreszcie wprosił się raz na herbatę, potem poprowadził do teatru. Powiadam: „Stefka, źle robisz”. A ona mi na to: „Ciotka głupia, to kolega Gregora!” Bywał co dzień, przestała chodzić na robotę, spacerowała po całych dniach. Widzę, do czego idzie.

Powiadam: „Napiszę do Gregora”. A ona mi skacze do oczu: „Cóż to, ja — żona Gregora? Ślubowałam mu przed ołtarzem? Mam czekać starości i śmierci, dołą tracić.

Porzucił mnie, tyle i dba, tak kocha!” Jak na złość gach był

78

gładki, wąsy mu stały jak szydła, czupryna kędzierzawa, złota, oczy tkliwe. Umiął śpiewać i żartować, że śmiech mnie starą ogarniał!

— Kto to był? — obcym głosem zagadnął Gregor.

— Kolega twój. Bogaty pan, hrabia! Zdurzył ją, podarkami usidlił, i tak razu pewnego nie wróciła ze spaceru z nim, aż dotąd! Nie żałuj jej, hołubczyk, lepszej tyś wart, drugą znajdziesz.

Gregor słowa nie rzekł. O drzwi oparty stał, patrząc w jeden punkt, w lampę dymną, która oświetlała ponuro sięń.

Żółtawa bladość pokryła jego twarz i pot zimny wystąpił na czoło. Machinalnie podniósł ramię i dłoń wsunął w zanadrze.

Stara mówić przestała, a on słuchał, słuchał, rozwierając niekiedy usta i język spalony przesuwał

po wargach.

Wreszcie głowę odrzucił i uderzył nią o kant drzwi. Nagły ból go orzeźwił. Powiódł powoli oczami wokoło siebie i jak automat się zawrócił.

Marta Czymbajew uchwyciła go za rękaw.

— Poczekaj, hołubczyk, herbaty wypij! Samowar kipi, słyszysz!

Nie słyszał ani zrozumiał. Począł zstępować ze schodów, a że mu w głowie się kręciło, o ścianę się dłonią chwycił.

Znalazł się na ulicy i szedł przed siebie, zwracając się w lewo lub prawo, bez myśli.

Zawrót głowy plątał mu nogi. Przystanął pod jakąś ścianą i dostrzegłszy zagłębienie w murze, schodów parę do furtki, na tych kamieniach ośnieżonych usiadł, zgarnął

się, w kłębek zwinął i pozostał.

Te same to były schody, skąd przed laty zabrał dziecko wpółnagie, głodne, poniewierane... Siedział tam teraz on, 79

najnędzniejszy, zabity, czarnej rozpaczy mając duszę pełną po brzegi, nieczuły na zewnętrzne wrażenia. Żaden głos ni skarga nie wyrwała się zeń, tylko czuł, że go złe teraz ogarnia, że nic nie uszanuje, nie wzdrygnie się przed niczym!

Ciężka dłoń wstrząsnęła go za ramię. Był to policjant.

— Tu nocować nie wolno. Ruszaj! — rzekł.

Machinalnie wstał. Znowu szedł z ulicy w ulicę jak lunatyk.

Nie zauważył, że go ktoś dogonił i towarzyszył, stąpając cicho i nie mówiąc słowa. Długi czas tak szli obok siebie, wreszcie rozbity głos Maksymowa się rozległ:

— Czekamy na ciebie, Gregor.

Drgnął i popatrzył na kalekę, a ten dalej mówił, powoli, z cicha:

— Cały świat zdradzony, zdeptany, skrzywdzony. Cała ziemia rosę ma słoń od łez, pył ciemny od krwi. Tyś przysięgał ludzkości swe życie! Chodź!

Gregor popatrzał nań, wzdrygnął się.

— Czekają mnie? Prawda. Idę — rzekł spokojnie.

Po chwili milczenia, spytał:

— Spotkałeś Sewera tutaj przed kilku miesiącami?

— Nie. Więc to on?

— On! — zimno Gregor potwierdził.

Więcej nic nie rzekli, rozumieli się.

Stali już u drzwi domu naznaczonego na schadzkę, gdy Gregor przemówił:

— Oni tam mnie czekają i spodziewają się, że ich, jak dawniej, słowem gorącym zapalę, porwę. Zawiodą się oni i ci, co mnie tu wysłali. Nie mam myśli i głosu. Zwierzęce życie tylko zostało we mnie. Chciałbym krew pić i wnętrzności wywlekać, i to tylko potrafię.

80

— Gregor, tobie nie wolno tak mówić!

— Wolno, bom był, jak inni, człowiekiem. Nie powiem tego im, ale tobie powiem. Słuchaj. Nie odrodzi się nigdy świat, bo każdy z nas, ludzi, gdy pełni sił dochodzi, łamie się i, jak stępione narzędzie, jest do wielkiej pracy niezdatny. Dlatego małe tylko dzieła widzi ziemia i zaledwie siebie jednego ma moc pomścić człowiek!

— Gregor, to była jedna kobieta! — szepnął

Maksymow.

— Miłowałem ją! — lakonicznie odparł młody.

Przesunął ręką po oczach i dodał:

— Prowadź. Mnie spieszno w drogę dalszą! Zginęli w ciemnej szyi domostwa.

Z furty, kędy weszli, przez całą długą noc zimową wysuwali się i wchodzili ludzie. Nie zwracało to uwagi policji, bo w posesji była fabryka firanek, bawaria, łaźnia, mieszkał doktor i Żyd lichwiarz. Było to zatem gniazdo nocnego, ciemnego ptactwa, a ludzie snujący się należeli do różnych klas społeczeństwa. Byli młodzi i starsi, wyrobnicy, kobiety, panicze szykowni i brodate figury uliczne.

Nad samym ranem, gdy nagła odwilż zatrzała miasto brudną mgłą, wyszedł ostatni Gregor. Był sam, ale wkoło śledziły go oczy troskliwych braci. Był w opiece setek.

Nikt go przecie nie zaczepił. Zmęczony wyglądał, skierował się znowu w uliczki brudne i ciasne, kędy żyje nędza. Jeszcze mu jeden obowiązek pozostał do spełnienia, szedł go załatwić.

W nędznej komórce pod schodami powitała go łzami kobieta wyniszczona i blada, cień dawnej, pięknej żony Nikity. Na podłodze, przed piecykiem siedział chłopaczek kilkoletni w czerwonej jak krew koszuli i podniósł na 81

gościa zielone ponure oczy. — Zaszedłem po was! — rzekł

Gregor. — Do Petersburga jadę dzisiaj. Tam na was czeka mieszkanie i zajęcie.

— Dobrze! — odparła kobieta. — Słuchał was Nikita.

Żebyście tutaj byli, może by nie zginął tak marnie. Pójdę za wami, bo on by mi tak kazał.

Poczęła płakać, a on pocieszać ani mógł, ani umiał.

Patrzył na dziecko. Stworzenie to było szpetne i chude, z nie dzieciennym już wyrazem wąskich, wielkich ust. Wciąż ukosem przyglądał się gościowi, a tymczasem zbliżył się do piecyka, wygarnął garść popiołu, napluł nań i cisnął na Gregora.

Młody człowiek uśmiechnął się szyderczo, otrzepując rękaw.

— Co robisz, Kostku? — zawołała matka.

— Pan w czarnej odzieży. Czego on tutaj? —

zamruczało dziecko.

— Głupcze. Idź go przeproś, on druh twojego ojca.

— Nieprawda!

Matka chciała go ukarać, ale Gregor ją zatrzymał.

— Dajcie mu być sobą. Dostyc będzie miał czasu udawać i kryć zdanie. Zuch z niego urośnie. I wy nie płaczcie.

Nikita twardy był, wróci. Zabrałbym was dzisiaj z sobą, ale moja droga nieprosta. Może za parę ledwie tygodni stanę w stolicy. Pojedziecie z Maksymowem. Praca wasza gotowa i miejsce gotowe.

Skurcz mu przeszedł po twarzy. Dla kogo innego było to miejsce, dla kogo innego praca. Ochłonął po chwili.

— Zdrowi jesteście? — zagadnął.

— Zdrowa! — odparła kobieta. — Jak ta brzoza, której wichur wierzchołek ukręcił. Korzeniami żyję! Dziecko jeszcze bardzo małe, trzeba żyć!

82

Zapłakała znowu.

On do odejścia się zabierał, więc rękę jej uściśnął, a na stole paczkę pieniędzy zostawił.

— Do zobaczenia rychło! — rzekł z progu.

Gdy zamknął drzwi, druga garść popiołu uderzyła deski i świszczący głos chłopca rzucił mu pożegnanie:

— Kistokrat! Padlec! Czynownik!

Musiał dosłyszeć, bo się uśmiechnął i zamruczał:

— Hodują się katy miast mędrców!

83

VII

PRZECIWNICY IDEI

Mieścina, w której osiadł Bronisław Świda, mało się różniła od wsi. Miała zaledwie kilkadziesiąt żydowskich domostw, kilka bóżnic, cerkiew, sąd „mirowy”, kramiki wśród olbrzymiego placu, trzy ulice mieszczańskie, trzy chłopskie, a wokoło zboża i łąki.

Doktor wynajął dla siebie domostwo z ogrodem w sąsiedztwie pól, i tak od roku klepał biedę, wcale nie myśląc o zmianie ani szukając czegoś lepszego. Praktyki dostarczały mu dwory okoliczne i Żydzi, chłopów leczył

darmo, sam przyrządzał lekarstwa, sam urządzał swój ogród, zarabiał na chleba kawałek, a w swobodny czas zagłębiał się miedzami w zboże lub strzelał ptactwo po błotach. Był szczęśliwy. Stara gospodyni pilnowała mu domu i jadła, chłopak znajda doglądał kro winy i konika. W

okolicy miał dużo życzliwych znajomych, w miasteczku sławę i uznanie. Był szczęśliwy.

Po roku zaczęto przebąkiwać, że doktor w pierze porasta i nawet żenić się zamyśla. Co prawda, częściej niż tego wymagała konieczność, bywał Świda w jednym z okolicznych dworów, a swój dworek stroił i upiększał. We dworze owym dogorywał stary pan, a dozorowała go jedynaczka córka. Powoli pomiędzy tym dwojgiem a doktorem zawiązała się zażyła, przyjaźń. Stary kochał go jak zbawcę, wyglądał ratunku i pomocy, krzepił się na jego widok; dziewczyna znalazła w młodym człowieku szczerego towarzysza pracy przy roli, uważnego słuchacza 84

marzeń, doradcę i pomocnika w ważniejszych kłopotach.

Tradycja rodowa ciągnęła Świdę do wsi, do życia rolniczego; wydziedziczony z ziemi, miał skowrończe upodobanie pól szerokich, ciszy, wielkich obszarów traw i kłosów. Intuicyjnie rozumiał trud około roli, zajmował go każdy szczegół. Zanim dziewczynę pokochał, już rozmiłowany był w jej życiu.

Oboje byli marzyciele. Umieci godzinami błąkać się wśród pól, umieci siadywać w milczeniu, bez końca, pod ścianą zboża lub pod cieniem wierzby krzywej, patrzeć, słuchać i pić rozkosz spokoju.

Dni tak spędzone zaznaczał Świda czerwono w swym kalendarzu, aż wreszcie pewną datę zakreślił mocno i szeroko. Był to dzień, gdy zasłuchani w śpiewy ptactwa, owiani wonią zbożowego kwiecia, poważni, wyznali sobie kochanie w cichych krótkich słowach.

Stało się to w drugim roku jego pobytu w miasteczku.

Od tego dnia począł pracować w dwójnasób, oszczędzać, zbierać grosze. Co zebrał, oddawał staremu panu. Był to jego posag do ślubowin z ziemią ukochaną. Nie chciał do niej przyjść z próżnymi rękami, postanowili czekać, a tymczasem mówili „nasze” na wszystko i roili cudne plany przyszłości.

Zdawało się czasem Świdzie, że chyba tyle szczęśliwości w duszy mu się nie zmieści. Czasami wracając do domu wieczorem, przejęty dobrem i wydoskonalony złotą nadzieją, nie mógł ni śpiewać, ni marzyć; więc z cicha się modlił i świat cały tuliłby do piersi z wdzięczności za taką dolę.

Pewnego dnia tak właśnie jechał drogą wśród zbóż, powoli, półgłosem odmawiając pacierze. Pod miasteczkiem, na piasku, konik jeszcze zwolnił kroku, 85

doktor lejce na rękę założył i zamyślony po zbożu spoglądał. Nagle od krzyża na wzgórku oderwała się jakaś postać i zrównała się z nim.

— To ty, Bronisław Kazimierzowicz? — przyciszony głos spytał.

— Ja! — odparł Świda i myśląc, że go ktoś do chorego potrzebuje, dodał:

— Natychmiast służę!

Wędrowiec położył rękę na brzegu wózka.

— Nie poznajesz mnie? — spytał.

Szary, głęboki zmrok był i żadnej gwiazdy, jednakże nie widząc twarzy gościa, Świda poznał ten głos. Poznałby go wszędzie.

— To ty, Gregor! — zawołał.

— Ciszej! Ja sam. Cieszy to mnie, żeś przecie zrozumiał, z kim mówisz!

— Osobliwe spotkanie. Ty tutaj? Siadajże proszę.

Spodziewam się, że przyjmiesz u mnie gościnę.

— To zależy, czy przyjąć zechcesz. Nazywam się teraz Sergiusz Aleksandrow.

— Dlaczego, Gregor?

— Dlatego, że zeszłego tygodnia zabiłem generała żandarmów w Twerze i na głowę moją naznaczona jest nagroda pięciu tysięcy rubli. Musiałem zniknąć na czas jakiś, wybrałem te lojalne, zapadłe strony. Zabawię tutaj dwa tygodnie. Mając do wyboru błąkanie po lasach lub zgłoszenie się do ciebie, przyszedłem tutaj. Wiem, żeś ideom naszym wróg, ale wiem, żeś uczciwy człowiek, dlatego cię nie oszukiwał. Wiesz, kim jestem i co mnie tu sprowadza. Czyń, jak chcesz!

Świda poczuł w sercu lęk i wahanie. Przez sekundę chciał prosić tego człowieka: Ulituj się nad szczęściem 86

moim! — ale wrodzona ofiarność wzięła górę nad rozsądkiem.

— Popełniłeś zły czyn, Gregor, ale nie mnie ciebie sądzić. Zaufałeś i co by się nie stało, nie zawiedziesz się.

Siadaj obok mnie, u przeciwnika swej idei będziesz bezpiecznym!

Socjalista uścisnął jego dłoń w milczeniu i usiadł na wózku. Ruszyli powoli.

— Wyglądasz bardzo zdruzony, Gregor! Poznałem cię tylko po głosie. Zresztą inny jesteś.

— Najzupełniej. Ludzie, którzy żyć mają długo, żyją z wolna, rachują na lata. Ja życie swoje rachuję tylko na miesiące, zresztą chory jestem. Gorączka mnie trawi. Mam nadzieję zginąć, jeśli nie, to prędko umrę.

— Dawno wróciłeś z zagranicy?

— Od pół roku tutaj jestem.

— Odnalazłeś kogokolwiek z naszego towarzystwa?

— A jakże! Maksymowa.

— Możesz się ożenił?

— Ja! Ha, ha! — zaśmiał się szyderczo. — A ty?

— Mam narzeczoną.

— Ano, zapewne! Ty możesz! Ja nie mam czasu ani chęci. Przez te pół roku nie spędziłem tygodnia w jednym miejscu ani rozmawiałem dwa razy z jedną osobą. Wiesz, że Sewer jest w Petersburgu, adoptowany przez Glebowa?

— Słyszałem o tym.

— Ha, ha! Możemy mieć protekcję!

— To bardzo smutne! — szepnął Świda.

— Tacy stanowią większość. Po ich głowach przejść trzeba, po ich zwłokach. Stoją na drodze, więc padną. .

— Tak, ale spośród tych, co ich podepcą, wyrosną im podobni. Zresztą, Gregor, znasz mnie, po co próżne 87

dysputy?

— Głupiś, my przyniesiemy i wam wolność.

— Wątpię, ale gdyby tak nawet się stało, ci z nas, którzy z wami będą wojowali, niech z wami zostaną. Wyrzekamy się ich.

— Mówisz jak trybun ludu, a jesteś jednostką.

— Mylisz się. Mam krewnych, przyjaciół, znajomych, myślą jak ja. Myśmy mieli wieki wybujałość wolności, nasza historia jest jednym szeregiem klęsk i błędów wynikłych z rozpasania swobody i nieposzanowania władzy. Wy jesteście teoretycy i utopiści, my jesteśmy praktyką. My możemy was uczyć.

Wózek wtoczył się w ulicę miasteczka i wnet stanął

przed domkiem, który białe sztachety dzieliły od drogi.

Między płotem a ścianą rosły wiśnie, malwy i słoneczniki, czerwona fasola oplatała ganek, a nasturcje, wybiegając poza pręty ogrodzenia, słały się na szlak.

Chłopak znajda przyjął lejce z rąk Świdy, a stara gospodyni otworzyła drzwi domu.

Weszli obadwa. W jadalni czekała wieczerza i starucha poczęła rozpowiadać zdarzenia dnia. Odprawiona dość obojętnie, spojrzała niechętnie na Gregora, który od chwili przybycia ust nie otworzył i rozparty na stole, zdawał się nieobecny myślą i duchem. Mało co jadł i pił.

Świda odchodząc, wezwany do ciężko chorego w miasteczku, zostawił go w tej samej pozycji, pochylonej, osłabłej. Wyglądał jak zwierz do pół śmierci przez ogary zegnany, gdy dopadnie ustronia, gdzie może odsapnąć.

Doktor poczuł dlań bezmierną litość. Nazajutrz zbieg ledwie się dźwignął z posłania. Nie skarżył się ani opowiadał, skąd przybył i w jaki sposób, ale znać po nim było bezmierne, fizyczne i moralne wyczerpanie. Świda 88

ustąpił mu swego pokoju i zostawił w ciszy. Nie taił, że ma kolegę, który u niego czas jakiś zabawi, tylko fałszywego paszportu nie chciał przedstawić policji, pilność urzędnika załagodził łapówką. Przez kilka dni Gregor odpoczywał.

Coś pisał, czytywał dzienniki, aż pewnego razu nie zastał

go doktor w domu. Całą noc go nie było. W dzień Świda, obowiązkami swego powołania ciągniony w różne strony, odjechał w sąsiedztwo, do chorych. I tak się zdarzyło, że mieszkając pod jednym dachem, nie spotkali się cały tydzień. Po tygodniu spotkał go sędzia na rynku. —

Szczególnego masz pan kolegę, doktorze—rzekł.—Wszak on noce spędza w szynkowniach. Zaznajomił się też z pisarzem gminnym i nauczycielem szkółki. Osobliwa kompania. Świda pobladł, ale wnet spokój odzyskał.

— Dziwak! — odparł lekceważąco.

— Czyś pan pewien, że tylko dziwak? — mruknął

sędzia z powątpiewaniem. — Gdybym pana nie znał i nie szanował, pomyślałbym, że należysz do nihilistów.

— O, co to, to nie!—zaśmiał się doktor, nadrabiając rezonem. Pożegnał urzędnika i ruszył szybko do domu.

— Gregor! — zawołał oglądając się, czy kto nie słyszy

— kompromitujesz się.

Zachareńko ponure swe oczy podniósł.

— Muszę. To mój obowiązek. Ale nie trwóż się. Dziś w nocy cię pożegnam.

Swida odetchnął. Socjalista spostrzegł to i „zaśmiał się.

— Jakże ci życie miłe, że o nie tak dbasz — zauważył

ironicznie. — Uspokój się, nie spotkamy się więcej.

Dziękuję ci za gościnność.

— Gdzież idziesz, Gregor? Zostań. Jam cię urazić nie chciałem. Ostrzegłem tylko!

— To dosyć! Zresztą ty już kobietę wplotłeś sobie do 89

żywota. Kobieta daje mężczyźnie tchórzostwo i słabość.

Tyś się już tym stał. Ano, żyj zdrow dalej, produkuj dzieci na żołdatów swemu katowi, niech mu twoja ziemia daje wszystkie plony, a ty pracuj dlań, straw życie.

Odwrócił się od Świdy i gwizdząc zaczął zbierać swe papiery ze stołu. Złożył je w torbę i na piersi ukrył, potem się przebrał, paląc papierosy i pijąc mocną herbatę doczekał zmierzchu.

Wtedy tłumoczek swój zarzucił na plecy, dłoń Świdy w milczeniu uściśnął i wyszedł słowa nie rzekłszy.

Doktor niespokojny za nim podążył.

— Gregor, konia ci natychmiast podadzą! Odprowadzą cię, gdzie chcesz!

— Mam ja tutaj sto koni i tyluż ludzi! Dziękuję ci, jestem wśród swoich.

Zaśmiał się szyderczo i skręciwszy około domostwa, wszedł się między mieszczańskie zagrody.

W pierwszej chwili Świdą zmartwiony był i dotknięty tym rozstaniem. Czuł, że Gregor z urazą odchodził i że go trzeba było zatrzymać i przejednać. Czuł też, że o odwiedzinach tych prawdę powinien wyznać narzeczonej, a wahał się, czy może kolegę zdradzić. Jednakże, gdy się znaleźli sam na sam, a spytała go o powód tak długiej niebytności, powiedział wszystko. Dziewczyna rozumna popatrzyła nań poważnie i zasępiła się.

— To źle! — rzekła. — Może pan odpokutować.

— Dlaczego? Wszakem wróg ich celów i środków.

— Ale pozór będzie przeciw panu świadczył. Zresztą zna ich pan. To aż nadto, aby zginąć.

Młody człowiek popatrzył na nią. Wzdrygnęli się oboje.

— Co Bóg da! — westchnął Świdą. — Złegom nic nie uczyniłem, a odmówić gościny choremu koledze nie mogłem.

— Naturalnie. Może zresztą lękamy się bez racji. Pan uczynił, jak był powinien. Co Bóg da!

Westchnęli raz jeszcze i przeszli do innego przedmiotu.

Cieężko im jednak było na duszy.

Przywykli od wielu lat wierzyć tylko w złe!

91

VIII

TAJEMNICZY LEKARZ

Pewnego dnia do hrabiny Gizelli wsunął się nieśmiało Agafon, najzaufańszy sługa generała Glebowa. Człowiek ten nieokreślonego wieku, z twarzy podobny do Tatara, był

w łaskach u wszystkich. Niestrudzony nigdy, cichy, uprzedzający każdy rozkaz, czytający myśli z oczu, był

wzorem rosyjskiego lokaja. Stary Glebow ufał mu nieograniczenie, ustępował niekiedy w ważnych razach synowi, Agafon zaś z własnego wyboru potrafił znaleźć czas, by usłużyć młodej hrabinie. Potrafił nawet wrazić się jej w pamięć i zyskać jej łaski. Mimo woli pociągało ją przyjaźnie ku niemu rozradowanie malujące się w jego oczach, ilekroć mu poleciła jaki komis lub wydała rozkaz, bawił ją uśmiech szczęścia, ilekroć się do niego odezwała.

Tego dnia Agafon wsunął się nie wołany i stanął u portiery, nieśmiało ku niej patrząc.

— Czego chcesz? — spytała.

— Ja do jasnej pani z modlitwą! — szepnął.

— Z jaką modlitwą?

— O łaskę.

— Mówże śmiało.

— Jasna pani, jak święta, chorymi się opiekuje. Może by raczyła zobaczyć moją żonę.

— Toś żonaty, Agafon? Ileż masz lat?

— Trzy lata jak odsłużyłem swój czas w wojsku. A już na trzy lata przed wojskiem mnie ożenili.

— Więc miałeś wtedy siedemnaście lat, a teraz masz 92

dwadzieścia siedem. Dziesięć lat tedy jesteś już żonatym.

Dlaczegoś się tak młodo ożenił?

— U nas taki zwyczaj w rizańskiej gubernii. Powiadają starzy, że żonaty nie zginie na świecie i do domu wróci z wojska. Ja nie wrócił, bo mnie jego wysokość graf generał

raczył sobie zatrzymać. Więc mi starzy żonę tutaj odesłali i teraz nie wiem, co z nią robić. Umiera każdego dnia.

— Czemuż jej nie leczysz?

— Nie mam za co, jasna pani! Jego wysokość dobrze mi płaci, ale starzy mi powiedzieli, że przeklą, jeśli sobie choć grosz zatrzymam. Więc odsyłam. Żona robi koronki i z tego się sama utrzymywała, aż zachorowała!

— Dobrze, odwiedzę ją jutro. Pojedziesz ze mną, to wskażesz, gdzie mieszka. Tymczasem masz tu trochę pieniędzy dla niej.

Agafon do nóg jej upadł i całował dywan na ziemi.

— Najjaśniejsza pani hrabino, nie dawajcie pieniędzy!

Nie wezmę, nie wezmę! —jąkał zawstydzony, a szczęśliwy obietnicą.

Gizella pamiętała o niej i nazajutrz, wsiadając do sanek, obejrzała się szukając lokaja. Stał i czekał, skinęła nań, zaprząg ruszył. Daleki to był kurs na ulice, które w braku nazwy oznaczono liniami. Tam, przed domem parterowym, zatrzymał stangreta Agafon i wprowadził

hrabinę na podwórze do odległej oficyny.

Na świetny zaprząg zwrócił uwagę policjant, snujący się opodal, zauważyło go parę figur podejrzanych, o wyglądzie tajnych szperaczy. Policjant zbliżył się do stangreta i spytał:

— Czyje to konie?

— Pani! — lakonicznie odparł sługa.

— Odpowiadaj porządnie, bo dostaniesz się do kozy!

93

— Owa! Prędzej ty sam. To konie Glebowa syna. Żona jego weszła do tego domu.

Policjant usunął się natychmiast, figury podejrzane zanotowały wygląd domostwa i rozpełzły się dalej.

Gizella tymczasem minęła, poprzedzana przez lokaja, labirynt ciemnych sieni i korytarzów, wreszcie znalazła się w dość dużej stancji, w której parę kobiet oprawiało książki. Izba była wilgotna, a

pracownice wyglądały anemicznie i nędznie.

Gdy drzwi skrzypnęły, jedna tylko podniosła głowę, a że stała najbliżej, Gizella dojrzała ją wyraźnie. Była wysoka, kształtna, o twarzy drwiąco-cynicznej i zmęczonych, czarno podbitych oczach. Ręce miała po łokcie odsłonięte i na jednej z nich wyklute sine znamię. Popatrzała na damę, potem na Agafona i zajęła się dalej powlekaniem klejem arkuszków bibuły. Agafon otworzył dalsze drzwi i zawołał:

— Helena, anioła tobie Bóg zesłał!

Izdebka, mała i ciemna, była bardzo czysta. Na tapczanie leżała kobieta bardzo blada, widocznie w paroksyzmie febry. Nie miała siły podnieść głowy, więc tylko oczy zwróciła na hrabinę i wyszeptała bardzo cicho:

— *Spasi Boh! Spasi Boh!*

Gizella dotknęła jej czoła.

— Tu przede wszystkim trzeba doktora, Agafon. Idź i sprowadź pierwszego lepszego, którego znajdziesz... byle prędzej.

Agafon wybiegł, a hrabina rozejrzała się uważnie. Na ścianie, w kącie, wisiała „ikona” z lampką, dalej kilka jaskrawych podobizn cesarza i członków panującej rodziny. Ze sprzętów, oprócz posłania, była skrzynka, stolik i parę krzeseł. Chora kaszlała ciężko, a z kąta odzywało się sapanie. Zaciekawiona, zajrzała tam pani i 94

ujrzała dziecko śpiące na kupie skrawków papieru, resztek wymiatanych z introligatorni zapewne. Gizella, obejrzawszy tę nędzę, stanęła u okna i wyglądała na podwórze czarne, po którym snuły się chude koty i ulicznik odarty grzebał w śmietniku.

Ogarnął ją bezmierny smutek i nuda. Przyszło jej na myśl, że gdy ona chorowała śmiertelnie w swym pałacu, mąż nie okazał nawet tyle troskliwości, co ten chłop rizański, i bardziej nędzną, i smutną była niż ta kobieta, która dla dziecka nie miała pościeli, dla siebie odrobiny wody.

Tymczasem do warsztatu Agafon wprowadził doktora.

Na jego widok podniosły się wszystkie twarze i zabłyszczały gorączkowo oczy pracownic. Był to młody mężczyzna, uderzająco piękny. Gdy mijał tę ze znamieniem na rękę, ona głowę przechyliła i otarła się o niego jakby niechcący. On ani drgnął, jej krew nabiegła w policzki, zabarwiła purpurą usta.

— Nie żartuj, Sonia! — szeptem upomniął Agafon.

Kwaczem pełnym kleju uderzyła go po szyi i policzku; przy tym ruchu, znamię jej stanęło w świetle. Siną farbą wyklute było: „Gregori”. Agafon odskoczył i przed doktorem drzwi izdebki rozwarł.

— Oto pan doktor, wasza wysokość! — oznajmił.

Doktor skłonił się w milczeniu.

— Tu jest chora — rzekła hrabina. — Mam nadzieję, że nie znajdzie pan nic bardzo groźnego.

Doktor zdjął szubę i dość długo badał chorą. Gdy stanął

u stołu dla napisania recepty, spytała go o rezultat badania.

— Febra skomplikowana cierpieniem płucnym. Da się usunąć — odparł.

Agafon przyniósł pióro i atrament. Hrabina spytała 95

doktora o adres.

— Niedaleko stąd, na II linii.

— Obrał pan bardzo oddaloną część miasta?

— Najbogatszą pod względem studiów tak fizjologicznych, jak i psychicznych. Tego zarobku nie odstąpiłbym za najlepszą posadę. Przy tym mam ogromną praktykę i ciekawe objawy chorób, jakich nie znaleźć wśród warstw bogatszych. Pracuję tutaj z zamiłowaniem.

— Upraszam pana o zajęcie się moją protegowaną i polecam ją pańskiej opiece. O ile będę mogła, postaram się ją co dzień odwiedzić, w każdym razie ufam, że ją pan rychło postawi na nogi.

— Należałoby jej dać stałą dozorczynię, mąż nie może u niej przebywać.

— Opiekę to ona ma! — wtrącił Agafon. — Te panny z warsztatu wstępują do niej parę razy na dzień. Teraz ona żywa być musi, kiedy wasza wysokość na nią spojrzała!

I znowu padł do nóg, kraj sukni Gizelli całując.

Zarumieniła się.

— Dajże pokój. Oto masz na receptę pieniądze. Załatw to wszystko zaraz, ja cię wytłumaczę przed panem, a gdy wrócisz do pałacu, daj mi znać.

Otuliła się w swój płaszcz sobolowy i wyszła, piękna, świetna, ocierając się prawie o dziewczęta nędzarki.

Sonia śpiewała, inne śmiały się i rzucały sobie dowcipy.

Szczęśliwe! pomyślała Gizella patrząc na nie.

Agafon otulił jej nogi futrami, a doktor wychodząc jednocześnie zapewnił, że chorej niezawodnie się polepszy.

Skinęła mu uprzejmie głową na pożegnanie, on się skłonił, i sanie ją uniosły.

Policjant widział tę scenę, widziały brzydkie figury tajne.

96

Doktor zwrócił się do Agafona.

— Mocnego rosółu, wina, mleka — zaczął, a dalsze słowa mówił już w bramie.

Policjant i brzydkie figury odeszły stanowczo dalej, widząc, że tutaj nie ma roboty.

Gdy doktor z Agafonem stanął na dziedzińcu, ulicznik, którego Gizella widziała grzebiącego w śmietniku, zbliżył

się do nich i podał doktorowi kartkę, potem stanął w bramie i pomimo mrozu pozostał przyklejony do ściany, zerkając to na ulicę, to na oficynę, do której weszli obadwa.

W sieni ciemnej Agafon roześmiał się śmiechem cichym, przypominającym pomruk sytej pantery.

— Złowiłem bobra!

— Udało ci się — odparł doktor — dostaniesz obecnie sto rubli.

— Dobrze i ruble, lepsza sztuka!

— Skrzywdził cię Glebow? — zagadnął młody człowiek.

— Tak jest — lakonicznie odparł lokaj. — Ja z jego włości rodem! Od dziecka on mnie do siebie przyjął.

Wyrostkiem ze swoją kochanką ożenił, jedynaka do wojska oddał i raz kazał krew wziąć na duszę. Ja wziął, odkupienie swoje stracił. On mój czart!

Znowu się zaśmiał, lecz wnet urwał i kładąc rękę na ramieniu doktora, rzekł:

— Ty mnie obiecał rychło od niego uwolnić! Ja czekam i dobrze służę. Rób koniec.

— Prędko, na dnie rachuj!

— Mnie po nocach wioska swoja się roi. Chciałbym wrócić!

— Wrócisz. Generał dziś wieczorem będzie w domu?

— Nie!

97

— A jutro?

— Nie wiem!

— Późno się kładzie spać?

— Późno. Do północy w gabinecie czyta i pali.

— Dasz mi znać, kiedy tak będzie spędzał wieczór.

— Słucham. Teraz już wracać muszę.

— Możesz odejść. Nic więcej nie mam do rozkazania.

Agafon zabrał się do odwrotu, lecz sobie jeszcze jedno przypomniał.

— Wiesz, Sonia pokłóciła się z Laninem.

— Skąd wiesz?

— Od niego samego. Czasami wieczorem pan mój posyła mnie po niego. Jak dziewczynę ma u siebie, to mu się nie chce iść, więc poznał się ze mną i w takim razie ja przynoszę panu raport: „Nie zastałem sekretarza, wasza wysokość!” Wczoraj mnie posłał, Lanin był wściekły, aż się przede mną wypowiadał: „Sonia się zbuntowała.

Trzeba ją napędzić, bo on nam potrzebny, a dla niej gotów na wszystko!”

Doktor głową skinął i wszedł do warsztatu.

Kobiety pracowały dalej, ale zmieniła się robota. Na stole stała niewielka prasa drukarska, spod której wychodziły arkusze nędznej bibuły, zadrukowane, wilgotne. Arkusze te zwijała Sonia i wsuwała w kosz pełen skrawków papieru. Nuciała przy tym wyuzdaną piosenkę uliczną.

Doktor wszedł do pokoju chorej, która siedziała na pościeli, apatycznie patrząc w okno.

— Dobrą wieść dzisiaj miałem! — rzekł do niej. —

Nikita uciekł z katorgi.

Porwała się na nogi wychudłe ręce przyciskając do piersi.

98

— O Boże, Gregor! A jeśli go pojma?

— Nie. Znajdą się swoi, co mu dopomogą. Zobaczymy go, może rychło.

Kobieta do kolan mu upadła.

— Mój dobrodzieju, opiekunie! — załkała. — Żebym ja umiała i mogła co tobie za to uczynić!

— Małom ja zrobił — odburknął — i niczego nie potrzebuję. Nikita musi wrócić, bo będzie potrzebny. Na mnie kolej ginąć! Markowski i Achaczeńko zaraz przyjdą.

Kończcie prędzej druk i wypraw dziewczęta!

Kobieta wyszła do warsztatu, a on u okna stanął i nieco głos podnosząc zawołał:

— Sonia! Dziewczyna weszła.

Gregor nie patrząc na nią spytał:

— Co słyszeć u Lanina?

— Nie wiem! — burknęła.

— Dlaczego nie wiesz?

— Bom u niego nie była.

— Teraz, kiedy toczy się sprawa Zajcowa o ten zrabowany z kolei proch?

— Co to mnie obchodzi!

— A cóż cię obchodzi?

— Ty wiesz. Nienawidzę Lanina! Mam tego dosyć!

Poślij do niego inną. Wiele ich dla ciebie, na twój rozkaz, będzie jego kochanką! Ja już nie chcę.

— Stanowczo?

— Stanowczo.

Gregor nic nie odparł. Wyglądał oknem.

Wieczór zapadał. Po okienkach zapalały się światła, na ulicy ruch się wzmagił. Z dala dobiegały dźwięki rozbitego fortepianu i śpiew niewyraźny. Białawy odbłask mroźnej nocy bił w oblicze zimne, twarde, piękne milczącego 99

mężczyzny.

Dziewczyna dyszała zapatrzona w niego. Nagle postąpiła naprzód, objęła go rękami za szyję i poczęła namiętnie całować. On się wzdrygnął, dominujący ból przeszedł mu po twarzy, ręce podniósł, jakby ją odepchnąć chciał, ale nie uczynił tego. Dziewczyna odskoczyła po chwili. Rozkochanie jej przeszło w dzikość. Rozdymały się jej nozdrza, mieniła twarz cała.

— Ty trupie! — szepnęła głucho. — Depczże mnie, oplwaj, wyszydź chociażby! Kiedym rzuciła dom i wszystko, niby dla twojej idei, rzekłeś, że dobrze uczyniła. Dotychczas spełniałam jak pies twe

rozkazy, teraz mi za to płąć!

— Nie kłamałem ani łudziłem cię nigdy! Trup jestem!

— odparł.

— Więc mi tylko powiedz, kto cię trupem uczynił, żebym zamordować mogła!

— Szalona jesteś! — szepnął.

— Powiedz! — nalegała. Ruszył ramionami.

— Co ci z tego przyjdzie? Nienawidzę kobiet. Miłość mi jest wstrętną.

— Więc i mną się brzydzisz?

— Jak każdą. Dziewczyna zaśmiała się dziko.

— Nie zobaczysz mnie więcej! — burknęła i wyszła zatrząskując drzwiami z łoskotem.

Gregor nawet się nie obejrzał. W mrok dziedzińca utkwiał oczy i czekał. Po chwili ukazała się jedna czarna sylwetka, przesunęła się jak widmo. W warsztacie było już pusto. Helena zamknęła już wewnętrzne okiennice, na stole paliło się kilka świec i stał kipiący samowar.

Nowy gość wszedł. Młody człowiek w ciemnych okularach, z pudełkiem pod ręką. Nie zdejmując kapelusza 100

ani witając się spytał:

— Gregor jest?

— Jestem — odparł Zachareńko wychodząc.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Czekamy ciebie od tygodnia, Markowski.

— Et! jeszcze w końcu ja na was czekać będę! Byłem w Belgii. Potrzebowałem form pewnych i preparatów, dzisiaj wróciłem i oto jestem. Nic nowego?

— Achaczeńko zaraz przyjdzie dowiesz się, jak daleko posunął robotę. Aresztowań żadnych nie było.

Markowski, podśpiewując pod wąsem wszedł do pokoju Heleny, odsunął kuferek, odkrył kilka desek podłogi.

Ukazała się czarna czeluść, w którą wsunął się śmiało, zawsze z swym nieodstępnym pudełkiem.

— Poświecić ci? — rzekł Gregor.

— Nie wolno! Za wiele tu wybuchowych materyj!

Zaraz wracam.

Głos jego zginął pod ziemią.

Na dziedzińcu rozległo się przeraźliwe miauczenie kota.

Gregor pospiesznie zasunął deski i na kuferek usiadł. Hasło to było ulicznika o zbliżaniu się niebezpieczeństwa. W

warsztacie była tylko sama Helena. Pod stosem rupieci stała prasa drukarska, wilgotne, ostatnie odbitki rewolucyjnej gazety leżały przykryte skrawkami papieru; tuż obok chemik Markowski fabrykował swój dynamit; za ścianą siedział człowiek, na którego głowę była naznaczona kilkotyśięczna nagroda. Kobieta wiedziała to wszystko.

Usiadła przy stole, nalała sobie herbaty, wzięła dziecko na kolana i poczęła je karmić. Łyżeczka, którą podawała Kosti do ust, nie zadrżała ani razu, nawet wtedy, gdy we drzwiach stanął Lanin, sekretarz Glebowa.

— Tutaj mieszka podobno Zofia Marforow? — spytał

101

młody, przystojny elegant.

— Tak, panie, tutaj — odparła spokojnie Helena.

— Można ją wiedzieć? Mam pilny interes.

— Wyszła przed chwilą.

— Nie mówiła dokąd?

— Zapewne do sklepu, gdzie dostarcza pudełek. Może pan raczy zaczekać?

— Nie mam czasu. Zostawię do niej bilecik.

— Proszę pana. Oddam jej natychmiast, skoro przyjdzie.

Za godzinę najdalej.

Młody człowiek dobył bilet i nagryzmolił na nim słów parę. Potem wsunął do koperty, zakleił i nie kładąc adresu podał Helenie.

Wychodził już, gdy mu myśl zła zaświtała. Wrócił i bacznie spojrzął na kobietę.

— Może wy kłamięcie i ona wcale do sklepu nie poszła?

— spytał. — Ma kochanka?

— Mogłaby ich dużo mieć, ale ich nie chce.

— Tak. Dziękuję wam. Mieszkając razem wiecie, jak żyje. Proszę, pilnujcie jej i jakby zaczęła przyjmować różnych, dajcie mi wiedzieć. Na złe tego nie użyję, słowo daję, ale wiedzieć lubię.

Za usługę dobrze płacę.

Dobył z kieszeni jaskrawą asygnatę i położył przed Heleną.

— To będzie zadatek! — dodał z uśmiechem. Helena uśmiechnęła się też uprzejmie.

— Z miłą chęcią usłużę panu. O! Soni trudno będzie uchronić się od pokus. Zaczepek ma bez liku.

Lanin pobladł nieco.

— Ja będę wstępował po wiadomości! A dzisiaj namówcie ją, aby posłuchała treści tej kartki.

102

— Dobrze, panie.

Elegant, zajęty swą miłością, roztargniony, nie spojrział nawet na pokój.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, dzieciak, który przysłuchiwał się uważnie, parsknął śmiechem.

— Widziałaś, matko, ile on miał pieniędzy? Żeby ja duży był, tobym je zabrał!

Gregor i Markowski weszli.

— Zuch, Helena! — rzekł chemik.

— Udało się! — dodał Gregor. — Ale Sonię tam posłać trzeba koniecznie.

— Wyszukam ją i sprowadzę — ofiarowała się Helena.

Nikt jej nie odpowiedział. Mężczyźni rozłożyli na stole plan stolicy i Markowski kreślił po nim różne znaki.

Pochylili głowy ku sobie i rozmawiali szeptem. Gregor cyfry jakieś notował. Kobieta wyszła.

Po chwili drzwi znowu skrzypnęły. Markowski się obejrzał.

— Ty, Achaczeńko, zawsze ostatni! — rzekł.

Nowo przybyły zdjął futro i na plan spojrział.

— Ciężko idzie robota! Jestem tutaj — rzekł punkt jakiś wskazując.

— Za dwa tygodnie skończysz? — spytał Gregor.

— Może, jeśli nie odkryją. Nie podoba mi się jeden z pomocników, Chwastow. Pijak.

— Zmienić go! — mruknął Markowski.

— Dam ci Maksymowa — rzekł Gregor.

— Dobrze. Cóż słyszeć? Gotów dynamit?

— Taka nędza. Zrób podkop pod całą stolicę. Będzie pewność, że skutek nie chybi.

— Ba, ja bym zrył chętnie cały świat, żeby mi dano rotę saperów. Zjedna kobietą i Chwastowem to za wiele zajmie 103

czasu! Usiadł i głęboko odetchnął.

— Trzy doby nie wychodziłem z przekopu. Rąk i pleców nie czuję. Dajcie herbaty. Jeśli się nie uda, precz stąd pójdę, jeśli żyw zostanę. Pójdę się jeszcze uczyć za granicą. Widzi mi się, żeśmy tutaj za wcześnie zaczęli. Ha, żeby wojna!

— Gdybyśmy poginęli wszyscy, nie osiągnąwszy nic więcej nad kopiejkę zniżki na chlebie, soli i godzinę pracy roboczej, dosyć nam chwały! — rzekł Markowski.

— A mnie by wystarczyło za nagrodę, gdyby jeden człowiek z nas zbydlęconych poczuł się myślącą, wolną jednostką! — zamruczał Gregor.

Achaczeńko się zaśmiał.

— Żeby fachowiec zobaczył tę pracę moją, to świdrowanie ziemi bez narzędzi, ludzi, jak dżdżownica, miałbym pomniki. Tam do licha, a będę miał tylko stryczek!

Wypił duszkiem herbatę i zwracając się do Gregor a spytał:

— Miałeś wieści z zagranicy?

— Miałem. Zawsze jedno, propaganda ludu i wojska.

Dwudziestu emisariuszów rzucili znowu, mam stosy broszur i sprawozdań. Oni tam się organizują, a my działamy po omacku.

— Pieniądze przysłali?

— Nie.

— To źle. Tutaj ńędza. Zresztą bez przekupstwa nie zajdziemy daleko!

— Jegor ma tutaj być rychło!

— Po co? Twoja głowa wystarczy.

— Moja głowa już oceniona. Lada dzień mogę zginąć!

Mały Kostia, zajęty struganiem patyka, podniósł głowę ku 104
drzwiom i zawołał:

— Matko, ja głodny! Mężczyźni obejrzeni się także.

— Aha, upolowali Sonię! — rzekł Markowski.

Dziewczyna stanęła u stołu i spojrzała po nich dziko.

— Czego chcecie od mnie? — spytała.

— Lanin tu był po ciebie! — rzekł Gregor. — Musisz iść do niego.

Żachnęła się niecierpliwie.

— Nie muszę i nie pójdę! — burknęła.

Markowski wydmuchnął kłęb dymu z papierosa, Achaczeńko z cicha gwizdnął. Gregor wstał. Nie wiadomo, co chciał uczynić, bo w tej chwili we drzwiach stanął gość nowy i głęboki głos pozdrowił ich:

— Ziemia i wola!

— Jegor!... — mruknął Achaczeńko niechętnie.

Nowo przybyły spojrzał po nich i dłoń do Gregora wyciągnął.

— Cóż milczysz? Witam cię.

— Milczę, bo odpowiedzieć muszę: chaos i niewola!

— Opuściliście ręce?

— Nie, ale wstyd nam i hańba, żeśmy naprzód nie postąpili. Najlepsi gniją w katorgach. Oto całe sprawozdanie.

— I dotąd darujecie życie Glebowowi?

— Oszczędzamy go z powodu podkopu — odparł

Achaczeńko.

— Ostudzić go to głupstwo! — dodał Markowski. —

Ale na co to się zda? Bestyj takich roi się w Rosji! Będzie drugi.

Gregora usta zadrżały i o jeden cień stał się bledszym, milczał.

— Potrzebujemy pieniędzy. Przywiozłeś, Jegor? —

105

spytał Achaczeńko.

Jegor się zaśmiał.

— Cóż to, nie macie w Rosji kapitalistów? Nie możecie sobie sami wziąć?

— Jak to? Zarznąć i ukraść? — spytał Markowski, błyskając dziwnie spod okularów.

— Oni biednych rznąli i okradali. To będzie restytucja.

— To nie z mego fachu — burknął Achaczeńko.

Gregor milczący, bardzo blady w twarz Jegora wlepił

oczy przysłonięte mgłą i grozą. Przypomniawszy sobie noc w Kijowie, gdy ten sam człowiek werbował go w służbę idei cudnej, wzniosłej, nadziemskiej. Podniósł swe ręce i spojrzał po nich. Jedna okaleczona była, na obu była krew przelana dla idei. Więc teraz i tego mało, te ręce mają odrywać zamki cudzych kas, dla idei tej cudnej. Wzdrygnął

się cały.

Zapanowało chwilowe milczenie.

Sonia, nie troszcząc się o towarzystwo, zabierała się do snu w kącie pokoju, na zydłu. Helena w swej stancyjce usypiała chłopca na ręku i zapatrzona w jasną plamę okna myślała o zbiegłym katorżniku, który teraz, tropiony jak zwierz, idzie ku niej przez stepy Syberii.

— Ktoś tu idzie — rzekł nagle Achaczeńko. — Swój, bo malec nie alarmuje.

— Zapewne Maksymow! — odparł Gregor.

Tak, to on był. Potworny, ze swym garbem, który go pochłaniał, zda się. Zresztą ten sam, blady, nikły, o żalonym wejrzeniu i ustach upartych. Dziwny kontrast niedołęstwa i woli.

Wszedł i nie widząc nikogo oprócz Gregora, nie pozdrawiając, bez żadnego wstępu rzekł:

— Wzięto Chwastowa!

106

Achaczeńko podskoczył na stołku.

— Gdzie? Na pewno? — zawołał.

— W szynku! Pijany był. Tak go poprowadzono. Plótl i wszystko, beładnie, ale teraz koniec będzie nam!

— Kto to jest Chwastow? — spytał Jegor, a Markowski odrzucił papierosa i splunął.

— Na próżno tedy fatygowałem się do Belgii. Com tam skorzystał, przekażę chyba oprawcy. Szkoda zachodu!

Gregor wreszcie przemówił:

— Chwastowa trzeba struć do jutra.

— Bezwarunkowo! — potwierdził Jegor.

— To dobrze. Ja pójdę — ofiarował się Maksymow.

— Gdzie pójdziesz, poczwaro! — zabrzmiał nagle za nim głos Soni. — Nie porywaj się z motyką na słońce. Ja idę! Macie strychninę?

Stała w futerku i bobrowej czapeczce, ożywiona, bez wahania i skrupułów. Pytała o strychninę tonem, jakby mówiła: Czy nie widzieliście moich kaloszy?

— Zuch dziewczka! — rzekł Jegor.

— Mam strychninę. Od czegożem chemik! — odparł

Markowski.

— Wsyp do wódki i dawaj zaraz! — komenderowała.

— Glebow wyzywa nas! — mruknął Gregor. — Przed tygodniem otrzymał ostrzeżenie, że gdy zaaresztuje jeszcze jednego z nas, wyda na siebie wyrok śmierci.

Markowski przyniósł flaszeczkę ze swej piwnicy i wręczył Soni.

Wyszła coś nucąc przez zęby.

— Muszę na wszelki wypadek zasypać wejście do przekopu! — rzekł Achaczeńko biorąc za czapkę.

— Ty, Maksymow, idź też! — rozkazał Gregor. —

Sprowadź jak najrychlej kilkunastu naszych. Niech stąd 107

uprzątną drukarnię i laboratorium Markowskiego przeniosą do stajen, gdzie je przechowa Agafon. Żywo, ranek niedaleki!

Zostali tedy we trzech.

— Na Glebowa czas przyszedł! — dziko powtórzył

Zachareńko. — Jeśli Chwastow się wygadał, to śmiercią jego zyskamy na czasie. Powstanie chaos, zajmą się zabójcą, Achaczeńko skończy podkop.

— A ten zabójca? Masz go? — spytał Jegor.

— Ja sam!

Markowski zagwizdał, co czynił zwykle, gdy mu coś nie dogadzało, a Jegor po chwili namysłu rzekł:

— Gruba gra! Szkoda ciebie.

— Tym lepiej, że gra trudna, a mnie już nie szkoda.

Zrobiłem dosyć i czuję, że kończyć muszę. Zostawię wam zorganizowane tutaj koła, porządną gazetę, sprzątnąłem czterech już tuzów, odsłużyłem swój czas. Zresztą Glebow do mnie należy. Mamy swoje z nim duże rachunki. Jeżeli teraz na niego już kolej, to i na mnie. My nierozdzielni.

Zaśmiał się i odetchnął ciężko.

— Długom ja o tym dniu marzyłem.

— Osobiste spawy należy zapomnieć! — mruknął Jegor.

— Ja wezmę na siebie Glebowa.

Gregor podskoczył naprzód.

— Nie śmieję go tknąć nawet! — warknął, złowieszczo błyskając oczami.

— Ejże, nie zapominaj się!

— On mój! Chcesz wiedzieć dlaczego! Za ojca zesłanego do Nerczyńska, za matkę zmarłą w drodze do Irkucka, za wydartą ziemię i nazwisko, za kobietę kochaną.

On mnie odarł z tego co ludzie miłują, jaż od niego co wezmę—tylko życie. Tego mi jeszcze bronisz!

108

Jegor usta otworzył, ale w tej chwili Markowski mu przerwał:

— Milcz! On słusznie mówi. Prawo ma. Glebowa życie do niego należy! Niech je bierze. Nikt inny! Basta!

— Niech bierze! — zamruczał Jegor.

Chwilę zamyśleni milczeli, wreszcie Jegor spytał:

— Kiedy?

— Do trzech dni — odparł Gregor.

— W każdym razie staraj się zemknąć!

— Wątpię. Zresztą bądźcie spokojni. Ode mnie niczego się nie dowiedzą.

Jegor bębnił palcami po stole, Markowski papierosa kręcił, do izby weszło kilku ludzi, zaczęli częściowo wynosić drukarnię. Nikt się nie odzywał. Wreszcie Gregor się poruszył, za czapkę wziął.

— Mam wiele roboty. Jeśli będę potrzebny, Maksymow wie, gdzie mnie szukać. Niech się nikt z naszych nie pokazuje u mnie w mieszkaniu. Po wypadku to będzie srodze kompromitujące! Żegnajcie.

Zmieszał się z ludźmi krążącymi u drzwi i zniknął.

Nad stolicą jeszcze noc leżała, jasna od zorzy i mrozu.

Pusto było w tej zapadłej dzielnicy. Ludzie, snujący się z rzadka, mieli lisi krok złoczyńców lub szpiegów, okna były ciemne. Gregor minął parę ulic, przystanął na rogu obok jednokonnych sanek, które zdawały się tutaj czekać na kogoś. Koń był biały od mrozu, woźnica, dla odpędzenia snu, gwizdał pod nosem. Na widok młodego człowieka zebrał lejce w rękę, głowę w milczeniu skinął.

Ruszyli bez szelestu prawie, ślizgając się po zlodowaciałej ulicy. Za mostem woźnica stanął. Gregor wysiadł, rzucił mu zapłatę i poszedł dalej pieszo.

Gdy mijał pałac Glebowa, pod portyk zajeżdżały sanki.

109

Wyskoczył z nich Sewer rozbawiony, śmiejący, w towarzystwie innego oficera. Rozmawiali głośno:

— Pyszna Elza!

— Donatow zgrał się do nitki.

— Będziesz na rewii?

— Naturalnie.

— No i jutro u hrabiny Zity?

Ton odpowiedzi Sewera był zbyt obojętny, aby mógł

być naturalnym:

— Wątpię! Będę gdzie indziej zajęty. Oficer się roześmiał.

— Co? Nie podoba ci się asysta tego śpiewaka? Ejże, każdemu czas mija lub nadchodzi.

Sewer ramionami ruszył.

— *La donna e mobile!* — zanucił.

Pożegnali się uściskiem ręki. Glebow młody otarł się prawie o Gregora i znikł we drzwiach.

Socjalista ruszył dalej.

Nad stolicą z mrozu tuman się tworzył. Jak fantastyczne widziadła majaczyły pałace, pomniki, gmachy publiczne.

Gregor mijając liczył je i rozmyślał: o robotnikach w tych pałacach zamieszkałych, o rządzie wybranym, rezydującym w gmachach, o nauce bezpłatnej, o pomnikach, z których piedestały tylko zostaną dla nowego świata założycieli i bohaterów. Tak go te rojenia opanowały, że powoli z siebie się wyzuł. Beznamiętnie, spokojnie marzył, niepomny, że do tego dnia szło się przez krew, ruinę, podłości; niepomny, że i jego krew na tej drodze swą ciemną plamę zostawi, jak krew jego ofiar i krew następnych tysięcy. A jednak poza tą myślą, która jego opętaniem była, gdzieś na dnie druga tkwiła myśl, która jego kroki, machinalne zda się, wiodła do pewnego celu.

110

Doszedł tam i stanął.

Przed domem stała kareta, na piętrze jedno okno słaby, różowy blask, sypialni czy buduaru rzucało na pustą ulicę.

Socjalista za latarnią się ukrył, w zanadrze sięgnął.

Drzemał stangret na koźle karety, można było łącno do niej się zakraść, do wsiadającego strzelić.

Młody człowiek może to właśnie myślał, ale spostrzegł

brak rewolweru.

— Pożyjesz jeden dzień!... — zamruczał. W tej chwili drzwi kamienicy się rozwarły. Wyszedł z nich Glebow stary, sam, osłonięty po oczy szubą.

Chód miał niepewny, głos chrypliwy, gdy budził z przekleństwem stangreta. Za nim wysunął się nieodstępny Agafon, do karety wsiąść dopomógł, na swe miejsce skoczył, ruszyli.

Gregor za nimi popatrzył, potem raz jeszcze na to okno różowe i poszedł. Teraz już nie marzył, układał plan.

Do domu wracał. Musiał się z Maksymowem rozmówić, jego los zabezpieczyć, papiery jedne poniszczyć, inne ukryć, z Agafonem się zobaczyć.

Szedł prędko, jak człowiek bardzo trzeźwy i dobiegający celu. W sobie czuł wielki chłód, ogólne śmiertelne zamarcie. Był gotów do swego ostatniego czynu.

Mieszkał i praktykował jako doktor Sergiusz Aleksandrów, Maksymow uchodził za jego brata.

Zajmowali trzy pokoje, nie mieli żadnej służby.

Gdy Gregor drzwi otwierał, dojrzał światło w sypialni, które natychmiast zgasło. Zdziwiło go to, wszedł do swego lekarskiego gabinetu i zapalając lampę zawołał

Maksymowa.

Kaleka milczał.

Tedy Gregor z lampą wszedł do sypialni i obejrzał się.

111

Maksymow leżał przykryty po oczy.

— Co się tu dzieje? Udajesz śpiącego, zgasiłeś światło?

Coś ty, pijany? — zagadnął trącając go Gregor.

— Nie... Trochę zasłabłem!... Spać mi się chce...

— To wstań! Wyśpisz się potem. Mam dla ciebie wiele poleceń!

— Słucham. Mów!

Gregor lampę na stole postawił.

— Co tu, na tym stole? Krew? I na ziemi też?

Co ci się stało?

— Nic. Trochę się skaleczyłem, a leniłem się sprzątnąć.

— Skaleczyłeś się! Jak? Tym nożem? To mój nóż!

Gdzieś go wziął?

— Z twojej szafki z narzędziami.

— Do licha! Wiesz ty, zem w pośpiechu narzędzia rzucił
źle oczyszczone po ostatniej sekcji. Pokaż skaleczenie.

— Głupstwo. Nic mi nie będzie.

— Pokaż, mówię ci!

Prawie gwałtem odkrył kołdrę.

Maksymow leżał ubrany trzymając w zanadrzu lewą rękę. Krew była na posłaniu.

— Daj mi święty spokój. Czym ja dziecko!

Siłą opatrzył go Gregor. Maksymow bowiem odpychał

go, burczał, nogami kopał. Gdy go za lewą rękę Gregor ujął, on zbieleł, syknął i omdlał na chwilę. Ukazało się tedy kalectwo. U ręki brakło dwóch palców, okręcona była szmatami krwawymi niezgrabnie.

— Co to jest? — krzyknął ze zgrozą Gregor.

Maksymow, widząc się odkrytym, skulił się, w kąt zaszył, poczerwieniał. Tylko oczy jego patrzyły śmiało w rozszrożone źrenice Gregora, a miały te biedne, czerwone, zezowate oczy wyraz śliczny i uśmiech dziecięcej prostoty.

112

— Nie gniewaj się, Gregor — począł jąkać. — Była tu Sonia wracając od Lanina, czekała nawet na ciebie długo, a wreszcie mnie zostawiła relację. Chwastowa już nie ma.

Wypił Soni wódkę. Sprawiała się gracko. Ale Chwastow gadał i omal ciebie nie zdradził. Teraz jednak już niebezpieczeństwo minęło.

Maksymow dźwignął się i wstrząsany dreszczem bólu mówił dalej trochę gorączkowo.

— To głupstwo, zaradziło się. Powiedział: „Szukajcie człowieka bez dwóch palców u lewej ręki, pojmiecie bobra.” Ha, ha! To głupie. Bez palców tych może być kto inny, mogę być ja. Bobra nie pojną!

Tryumfująco wznosił okaleczoną rękę do góry. Gregor z zapartym tchem, niezdolny nic rzec, rękę tę ujął, rozwinął

szmaty, wziął się do opatrunku.

Maksymow, zmęczony, osłabły, ułożył się znowu i dał z sobą robić, co chciano. Bardzo blady, wpatrywał się w Gregora i lekko uśmiechał...

Zachareńko, ukończywszy opatrunek, obejrzał nóż skrwawiony, poszukał czegoś w książce medycznej, wyszedł, wrócił z lekarstwami i doczekał rana, siedząc nad chorym. O świcie zjawił się Agafon.

— Dzisiaj generał będzie wieczór spędzał u siebie —

oznajmił. — Rozkażecie cokolwiek?

— Przyjdę tam o północy. Czekaj. A teraz skocz do Soni i przyslij mi ją tu.

Po godzinie dziewczyna stawiała się na wezwanie.

Gregor wskazał Maksymowa.

— Ten mi jeden drogi, iść muszę. Zostań przy nim. Jeśli się stan pogorszy, postaw w oknie zapaloną świecę. Lękam się o niego.

— Głupia poczwara! — mruknęła Sonia.

113

Wiedział, że nienawidzi Maksymowa, ale był

przekonany, że w pewniejsze ręce nie może go powierzyć.

Chory się przecknął słysząc rozmowę.

— Odchodzisz, Gregor? — rzekł. — Bywajże zdrów.

— Cóż ci? Cierpisz?

— Nie. Sen morzy. Wróc jeszcze do mnie.

— Wrócę. Sonia przy tobie zostanie.

— Dobrze — odparł łagodnie patrząc za przyjacielem.

Na schodach jakaś moc szarpnęła Gregora. Gwałtem go wstecz ciągnęło. Przemógł się jednak i poszedł dalej.

114

IX

SAMOBÓJSTWO I MORD

W pałacu Glebowych na pozór nic się nie zmieniło. Na pozór tylko. Świetność kryła rany, zbytek brudy, spokój —

może gorycz. Od pewnego czasu złe myśli znalazły dostęp nawet do tak gładkiej natury jak Sewer.

Ocuciła go z szалу ta sama hrabina Zita, która go opętała i spodliła do reszty. Pożerała mu ona miliony, zdrowie, sumienie, honor, wszystko, aż naraz przesycała się nim i rzuciła go, otrząsając jak proch ze swych pantofelków.

Znudziła ją jego miłość bezgraniczna i poświęcenie, dokuczyło jej deptać po człowieku, zachciało się nowej zdobyczy, denerwujących przeszkód, oporu, wstępów.

Miała dość spokojnego stosunku.

Przez pewien czas on tego nie spostrzegł, potem temu nie wierzył, czepiając się nadziei i złudzeń, omamiony jej fałszem. Oszukiwała go i zdradzała, ale tajemnie, bojąc się scen, gwałtowności jego. Wreszcie pewnego wieczora, na balu, w ustronnym gabinecie, ujrzał ją w objęciach sławnego tenora i otrzeźwiał.

Nie zrobił sceny. Śpiewak wydał mu się nikczemnym rywalem, zohydził mu w jednej chwili kobietę. I nagle w tej chwili Sewer zastygł i dojrzał. Poczuł się dopiero w jakiejś bezdni czarnej, ohydnej, pełnej błota i zaduchu, zajrzał w siebie wzdrygnął się i opamiętał. Opanował go wstręt, nuda i rozpacz straszna, wreszcie rozchorował się na dobre. Leżąc, miał czas rozmyślać. W dzień odwiedzali go koledzy i znajomi, ale noce bezsenne spędzał samotny.

115

Noce chorych należą do osób kochających, do rodziny, a tych Sewer nie miał.

Ojciec spędzał je u „Kwiatka Lnu”, żona ignorowała go, sam sobie tę dolę zgotował. Gizella, zawsze o formy dbała, odwiedzała go co dzień o południu, ze stereotypowym pytaniem o zdrowie i kondolencją. Gdy znalazła kogokolwiek z gości, zostawała dłużej; gdy chory był sam, nie bawiła więcej minuty.

Na twarzy jej, zaostrej cierpieniem nigdy nie zdradzonym, malował się chłód i sarkazm. Czuł Sewer, że plotka stołeczna doniosła jej wieść o jego porażce i że ona tryumfuje, pyszna w swej czci niepokalanej wobec niego, nędznego. To podwajało gorycz jego, napełniało względem niej głuchą wściekłością. Czuł chęć dokuczenia jej, zbrutalizowania.

Raz wybuchnął, gdy go jak zwykle pytała o zdrowie.

— Czuję się lepiej. Jeśli pani miała nadzieję oswobodzić się prędko ode mnie, to nadzieja jest płonna.

— Nie żywię żadnych nadziei — odparła spokojnie.

— Tylko tryumf i radość, że cierpię.

— Nie myślę nigdy o panu.

— Nie wierzę. Znadto nienawidzi mnie pani.

— Myli się pan. Tylko pogardzam. Rzucił się.

— Po cóż ten przymus bytności tutaj?

— Odchodzę już! — rzekła zimno.

Nie chybiła jednak nazajutrz. Znalazła kilku panów i rozmawiała swobodnie. Gdy wyszła, jeden z gości, Francuz z ambasady, zwrócił się do Sewera:

— Najpiękniejszą masz, hrabio, kobietę z całej stolicy.

Co za kształty i rysy! Zazdroszczę ci.

Obecni, starzy znajomi, uśmiechali się nieznacznie z naiwności nowego przybysza. Sewer zagryzł wargi i 116

poczerwieniał.

W parę dni potem już wychodził i wyjeżdżał. Ale to inny był Sewer. Nie bawiło go już nic. Wewnątrz toczył go rak zniechęcenia do życia. Nurtowała w nim myśl samobójstwa. Sztuczny był jego spokój i wesołość. W

duży był niezmiernie nieszczęśliwy.

Bywał znowu w świecie i spełniał gorliwie służbę, wyczerpywało go do reszty udawanie. Gdy mógł, zamykał

się w domu. Począł wspominać kijowską nędzę, żałować jej i swych złotych snów ówczesnych. Męczył go świat, a samotność była nieznośną. Parę razy odwiedził ojca.

Generał prawił mu o swych sprawach o interesach, o plotkach buduarowych. Ohydny mu się wydał.

Razu jednego, w wieczór, gdy był bardziej rozdenerwowany, zbolały, postanowił do żony iść, dokuczyć jej, zobaczyć, że ona też cierpi. Nie kazał się meldować, dźwięki fortepianu zaprowadziły go do gabinetu, gdzie Gizella, też samotna, grała w półcieniu. Nie usłyszała go i on minutę słuchał i patrzył. Zdradził go piesek pokojowy nieprzyjaznym warczeniem.

Gizella się obejrzała, przestała grać, lecz nie odjęła rąk z klawiszów ani powitała. Czekwała, co jej powie.

— Jesteśmy proszeni na bal na Nabiereżną — rzekł

wiedząc, że nienawidziła tego domu.

— Mam się ubierać zatem? Za godzinę będę gotową.

Wstała powolnie, rozmarzona grą, jeszcze pod wrażeniem tonów.

— Może pani jechać nie chce? — spytał.

— Nie chodzi o to, czego chcę. Mamy jechać, więc się ubieram.

— I ja bym wolał pójść do baletnic, ale może spotkam na balu Olgę P.

117

Gizella złożyła nuty.

— Bezwarunkowo tedy być warto! — rzekła szyderczo i wyszła.

Po godzinie wsiedli razem do karety.

— Co pani uczyni z sobą, gdy mnie już nie będzie? —

zagadnął nagle Sewer po długim milczeniu.

— Nie zastanawiałam się nigdy nad tym.

— Więc proszę się teraz zastanowić. To może przyjść prędko. Spojrzała na niego uważnie.

— Hrabia wydaje się chory. Może lepiej wrócić do domu. Doktor stosowniejszy będzie od balu.

— Nich mi pani odpowie. Gdy mnie nie będzie, wyjedzie stąd pani?

— Tak! — odparła.

— Dlaczego?

— O hrabio, to nie potrzebuje tłumaczenia.

— I wyjdzie pani za męża?

— Nie! — odparła lakonicznie.

— Ale pani rada będzie mnie się pozbyć?

— Nie! — powtórzyła równie krótko i stanowczo.

— Mógłbym sądzić, że pani dogadzam zatem?

— Mówiłam już, że pan dla mnie nie istnieje. Cóż mnie obchodzi życie lub śmierć tego tam przechodnia?

— Cóż zatem i któż istnieje dla pani?

— Istnieje Bóg, wiara, rodzice, kraj, poczucie spełnionych obowiązków, nadzieja innego życia po śmierci. Istnieje wiele mocy i spokój w sobie.

Powóz stanął, rozłączył ich wnet wir ludzi.

Rozmowa ta do cierpień Sewera dodała nowe, rozbudziła wyrzuty sumienia, pojęcie całego szeregu popełnionych podłości, utrwaliła żądzę samobójstwa.

Nazajutrz po tej nocy, gdy Gregor go spotkał i słyszał

118

rozmawiającego, świetny kirasjer stał u szczytu swego postanowienia. Gdy odbył służbę wieczorną, wrócił do domu i poszedł wprost do swej sypialni. Przechodząc spytał o ojca, był na mieście. W swym gabinecie Sewer przede wszystkim popalił listy, potem napisał dwa i położył

na biurze. Następnie kazał podać wina i odprawił służbę.

Wtedy, paląc cygara i pijąc, raz ostatni się zastanowił, po co żyć.

Posiadał wszystko, użył do syta, nie miał pragnień ni chęci, w nic i w nikogo nie wierzył, cierpiał nieznośnie.

Nabił rewolwer włożył lufę do ust, ale się wstrzymał.

Opadła go pijacka myśl zastrzelenia się w pokoju żony.

Ten fakt skomplikuje wypadek, zmyli ludzkie przypuszczenia, że samobójstwem kierowała rozpacz po kochance. Będą sobie głowy łamali, Gizelli ostatecznie dokuczy. Ukrył tedy broń i poszedł.

Czerwone iskry latały mu przed oczami, krew pulsowała gorączkowo, zataczał się. Zdumiona służba usuwała mu się z drogi. U drzwi sypialni żony garderobiana na widok jego przeżegnała się jak przed widmem. Otworzył te ostatnie drzwi i wszedł.

Gizella modliła się, klęcząc przed wielkim hebanowym krucyfiksem, rozebrana do snu, w dłoniach ukrywszy twarz. Zerwała się widząc go, zbladła jak marmur. Ujrzał, że łzy miała na twarzy.

— Módl się pani dalej, nie przeszkadzam — rzekł. —

Wybrałem sobie pani pokój, by spocząć. Za chwilę będzie pani wolną.

Dobył rewolwer. Zrozumiała go wtedy. Podskoczyła, przytomność tracąc.

— Sewer! — krzyknęła.

Z krzykiem tym jednocześnie padł strzał. Kula ugodziła 119

w pierś. Sewer się zachybotał, rękami uderzył w próżnię i runął. Uchwyciła go i razem z nim osunęła się na kolana.

— Doktora! — zawołała, oburącz krew tamując.

Garderobiana z krzykiem pobiegła po ratunek. W tej chwili generał wracał od „Kwiatka Lnu”, trafił na zamęt i lament służby.

Wiść straszna uderzyła go jak piorun. Biegł i on przerażony na miejsce katastrofy. Zastał Gizellę wciąż klęczącą, z głową Sewera bezwładną na piersi, obryzganą krwią, bladą, bez tchu i mowy.

— Nie żyje? — spytał osuwając się na ziemię.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Zerwał się ożywiony nadzieją.

— Doktora! Doktora! — krzyknął.

Doktor już wchodził.

Dźwignięto Sewera na łóżko żony, przystąpiono do opatrunku.

Była to ciężka noc. Generał znękany, spędził ją w fotelu.

Gizella u nóg łóżka. Zeszło się więcej doktorów, dobyło kulę, która minęła serce, przeszła płuca, kierowana gorączkową ręką. Sewer żył, ale stan ogólny był fatalny, krew mu się rzucała ustami, mdlał bezustannie, nad ranem rozwinęła się okropna gorączka.

Stary Glebow odszedł, wezwany swymi obowiązkami. O

dziesięć lat zestarzał się przez te kilka godzin.

Złożył raport o wypadku, zwalając winę na nieostrożność z bronią, pojechał nawet o porze zwykłej do swego biura.

Tam, na wstępie, spotkała go znowu zła wieść: raport z więzienia o nagłej śmierci ujętego wczoraj socjalisty. Lanin był zmieszany, ale generał zbyt swą troską zajęty, aby wysnuwać wnioski, podejrzenie powziąć lub zająć się czymkolwiek. Stosy raportów odsunął od siebie, niezdolny 120

myśleć i decydować.

— Do jutra! — rzekł do sekretarza.

Tak chciał los. W raportach tych były wyznania Chwastowa, donos o podkopie, rysopis Jegora i Gregora.

Socjaliści zyskali dobrę czas.

Generał wrócił do domu. Sewer pasował się ze śmiercią, pałac był ponury jak grób. Przy chorym czuwała żona.

— Co to było? Co mu się stało? — spytał jej Glebow, palce wyłamując ze stawów.

— Zabiło go takie życie — odparła ponuro. —

Nadużycie, przesyty, hrabina Zita!

— Nie może być. Każdy podobnie żyje, ja — tyle lat!

Spojrzała na niego z pogardą.

— Widocznie on pana nie dorósł!

— Nieprawda! To coś innego. Nie wiedziałem, że on bywał u pani. Co między wami zaszło?

Gizella pod wzrokiem tego szpiega i policjanta zbladła ze wstrętu i oburzenia.

— Pan mnie o co posądza? Jeśli ma być indagacja, nie tutaj i nie teraz.

Pochyliła się nad Sewerem, podała lekarstwo, a potem spoczęła obok posłania, nie racząc uważać na generała.

Zmierzchało, gdy do komnaty, krokiem kota, wsunął się Agafon. Pochylił się do ucha swego pana.

— Maria Wasiljewna przysłała bilet, posłaniec czeka na odpowiedź — wyszeptał.

Generał ciężko wstał.

Bilecik był krótki. „Kwiatek Lnu” wzywał go do siebie.

Staremu sybarycie pochlebiało to. Czuł, że tam najłacniej zagłuszy zgryzotę, kazał więc zaprząć sanki i ruszył, jak zwykle incognito, z nieodstępnym tylko Agafonem.

Noc była ponura, padał śnieg z wichrem, niebo 121

zaciągnęło się chmurami.

Piękna kobieta przyjęła swego opiekuna radośnie, jednym tchem recytując plotki o zamachu Sewera, anegdotę najświeższą, jakiś skandal półświatka. Szczebiot jej rozchmurzył generała, widok jej podniecał i drażnił.

Śliczna bo była w oprawie zbytku mieszkania, zapachu, ciepła, ciszy tego magnackiego gniazdeczka.

Wreszcie opowiedziała mu swój kłopot. Służba jej, to jest kucharka i garderobiana, kędyś po

południu zbiegły.

Była skłopotana, jak go przyjmie i ugości.

— Nic to! — rzekł. — Jest przecie Agafon. Jutro rano służbę odnajdą.

Lokaja zawołano z przedpokoju. Cicho, ze zwinnością małpy, jak cień, bez szelestu, zapalił światło, rozłożył ogień na kominie, nakrył stół do kolacji. Dopiero wtedy ośmielił

się przerwać sam na sam czulej pary.

— Przyniosę kolację z restauracji — oznajmił.

— Dobrze. Weź sanki dla pośpiechu! — odparł Glebow.

— Mieszkanie tymczasem zamknij, żeby tu kto nie wlaźł

niepotrzebny. Pamiętaj, żeby szampan był różowy.

Agafon wyszedł drzwi zostawiając otwarte.

W buduarze Glebow, rozparty w fotelu, pieścił siedzącą na kolanach kobietę. Rozplótł jej włosy złote i podniecał

się, grubymi palcami płącząc tę falę wonnych splotów.

Lampa przyćmiona była i ogień na kominie ledwie się żarzył. Kąty w pokoju tonęły w cieniu.

I oto w kącie poruszyła się firanka od sypialni. W

szczelinie stanął człowiek. Dywany wyścielały komnatę, on się po nich, jak widmo, naprzód posunął. Miał na sobie półszubek wyrobnika rozpięty na czerwonej koszuli, głowę odkrytą. Stał o kroków pięć od grupy, gdy go kobieta pierwsza spostrzegła.

122

— Ach, kto to! — krzyknęła, kurczowo obejmując ramię generała.

Ten się obejrzał. Zadygotało w nim, ale nadrabiając grozą, spytał ostro:

— Ty kto? Po co tutaj? Won do kuchni, kanalio! Wtem kobieta zatrzęsa się, oczy jej rozwarły się strasznie.

— Hospodi Boże! — wrzasnęła przeraźliwie. — To on!

Zabije mnie!

Generał się zerwał, odtrącając ją. Ona na ziemię padła i zemdląła; Glebow dobył z kieszeni

nieodstępny rewolwer i o nic więcej nie pytając, strzelił. Sprężyna wydała suchy trzask, lecz kula nie poszła. Człowiek począł mówić:

— Ja, Gregor Zachareńko, syn pobitych przez ciebie, po twoje życie teraz przyszedłem. Jak smok ty leżał na drodze swobody ludu i dobra Rosji, jak smok pił i chleptał gorącą, młodą krew. Zabrał ty mi ojca i matkę, kolegów i druhów, nazwisko i duszę, tę kobietę wreszcie. Przyszedłem po ciebie!

Glebow rzucił się do okna, chciał wołać... Potknął się o leżącą kobietę, socjalista padającego za ramię porwał, z błyskawiczną szybkością, siłą i wprawą sztylet w pierś wbił

aż po rękojeść i odskoczył, jakby się bał, że go krew obłuzga.

Glebow zaryczał jak zwierzę, za sztylet chwycił, chciał

wyrwać to żądło śmiertelne i zwałił się z łoskotem okropnym, łamiąc swym ciężarem krzesło, obryzgując sprzęty krwią. Miotał się, wił, charczał, źle trafiony.

Gregor ujrzał to, sięgnął po żelazny pogrzebacz, leżący u komina, zamachnął się nim i w czaszkę dwa razy uderzył.

Generał nogami jeszcze parę razy poruszył i znieruchomiał w kałuży krwi czarnej, z głową potwornie pobitą.

123

Gregor żelazo rzucił i chwilę patrzył na swą ofiarę. Nie kwapił się z ucieczką. Powoli oczy z trupa przeniósł na omdlałą kobietę, postąpił krok i nogą ją potrącił.

W tej chwili zgrzytnął klucz w drzwiach od sieni.

Agafon wracał, niósł różowy szampan, delikatesy, zwierzynę, likiery...

Postawił kosz w przedpokoju i zajrzał.

Szpetna jego twarz zzieleniała, oczy przymknęły się ze zgrozy.

— Już! — wyszemrał. Gregor spojrzał na niego.

— Gotowe! — rzekł.

— I ona też!

— Omdlała! Wołaj policję! Co stoisz?

— Uchodź ty, panie! — wyjąkał lokaj.

— Mniejsza. Zwiąż mnie. Niech zaraz biorą.

— Nie, nie! Uchodź! Widziałem, jadąc, świecę w oknie Maksymowa.

Gregor się zawrócił żywo. Jednym skokiem był w kuchni, na schodach, w bramie. Potrącił stróża, wypadł na ulicę i zniknął w tumanach śniegu.

Tymczasem na górze Agafon sekundę myślał.

— I ona niepotrzebna. Będzie gadała!

Babski język splącze śledztwo! Myśl i postanowienie błyskawicą było. Przysiadł nad omdlałą, palce jak szpony wpił w gardło i począł dusić.

Kobieta się ocknęła w spazmie konania. Chrapała coraz słabiej, wreszcie zsiniała.

Wtedy Agafon do drzwi się rzucił, zamek w kuchni, poprzednio popsuty, do reszty połamał i biegł na dół, krzykiem, płaczem, złorzeczeniami alarmując dom cały.

Grał do końca po mistrzowsku rolę wiernego sługi, a świadczyć przeciw niemu mógł tylko trup!...

124

X

WZIĄŁ OD LUDU NAGRODĘ

Świeca paliła się na oknie Maksymowa, a w mieszkaniu on dogorywał.

Zwlekąca długo Sonia z tym hasłem śmiertelnym, łudziła się długo, aż wreszcie ujrzała, że nie ma nadziei ratunku.

W swym życiu awanturniczym przez dwa lata chodziła na kursy medyczne, znała się więc trochę na chorych. Cały dzień spędziła samotnie. Wedle rozporządzenia Gregora, nikt ze spiskowych się nie pokazał. Dziewczyna doglądała rannego, a w przerwach, gdy się uspokajał, szperała po kątach, paliła papiery, listy, przygotowana do katastrofy, spokojna, zupełnie o swój los obojętna. Lada chwila czekała wejścia policji. Wiedziała od Lanina o zdradzie.

Ale dzień minął, nie przynosząc żadnej wieści. Tylko Maksymow prędko, prędko dążył do kresu. Skaleczona ręka potwornie spuchła, z rzadka odzyskiwał przytomność, twarz miał wykrzywioną, oczy błędne. Cierpiał okropnie.

W chwilach jaśniejszych żałośnie, jak dziecko, wołał

Gregora.

Dziki serce Soni poruszyło się nawet.

— Sprowadzę ci Gregora. Nie piszcz! — rzekła.

Gdy zapaloną świecę stawiała w oknie, ręka jej więcej drżała, niż gdy w przeddzień dawała strychninę Chwastowowi. Czuła, że sprowadzając go tutaj, zgubi ukochanego. Dopaliła się świeczka do połowy, gdy wreszcie drzwi się żywo rozwarły i wpadł Zachareńko.

Wprost do sypialni podążył, na chorego spojrzął. Od 125

razu poznał, że tu śmierć szła wielkimi krokami i głucho, przeciągle jęknął. Przykląkł u posłania i na łokciach wsparty, wpatrywał się w straszną tę twarz. Maksymow się przecknął, poznał go i uśmiechnął się.

— Gregor, mój Gregor! — wyszeptał. — Ja bym tak chciał z tobą do Kijowa wrócić. Hm, ty znowu krew na sobie masz! Znowu! I czyja to?

— Glebowa! — odparł głucho Zachareńko.

— Och, ile krwi, ile krwi! — z jękiem rzekł kaleka. —

To źle, Gregor, źle! Jam tobie tego nie mówił, ale nie wolno krwi lać! W Kijowie lepiej było.

Ból zaćmił mu przytomność.

Potem w półśnie, dysząc w cierpieniu coraz wielmożniejszym, do siebie już mówił:

— I tam, i tu Czarny Bóg. I ci, i tamci po piersi w krwi, w gwałcie. A gdzież ten Biały, ten dobry? Czy i on zabity?

Nie ma go! Nie słyszać, nie widać!

Gregor w dłoniach ścisnął czaszkę.

— Zawołam doktorów! — szepnęła Sonia.

— Po co? — rzucił desperacko. — Dla niego dół tylko!

Nóż był zakażony trupem!

— Zabiłeś Glebowa? Gdzie? — spytała z zajęciem.

— Zabiłem. Idź ty, zostaw mnie z nim. O, bodaj mi dano doczekać jego końca!

— Młody Glebow się zastrzelił. Słyszałeś?

— Tak. Dosyć będzie miała ziemia ścierwa w tych dniach. Ich i naszego! Żeby tylko Achaczeńko podkop skończył.

Podniósł głowę i nadśluchiwał. Ale ciszę nocy wypełniał

zwykły ruch uliczny.

— Mrowie się rusza! — rzekł Gregor zamyślony. —

Mrowie znikczemniałe, podłe, niewolnicze. Już Glebowa 126

znaleźli i moim śladem idą. O mrowie! Oplwany będę przez ciebie, opoliczkowany, skopany! A jam ci przecie służył aż do śmierci! Kiedy ty na nas plwać przestaniesz, ludzie?

— Gregor! — szepnęła Sonia prosząco — uchodź ty. Ja cię ukryję bezpiecznie. Będziesz żył jeszcze!

Wzdrygnął się, spojrział na nią strasznie. Ale wtem Maksymow poruszył się, zajęczał:

— Pić! Pić!

Gregor wskazał drzwi dziewczynie. Schyliła głowę pod jego wzrokiem i wyszła. On się zajął chorym. Ręka, co bez drżenia mordowała, teraz stała się lekką i pieszczotliwą.

Przesuwała się delikatnie po zjeżonych, potem okrytych włosach, poprawiła poduszki, podawała lekarstwo.

Maksymow nie spał, nie majaczył. Leżał zmęczony, przymkniętymi oczyma wpatrując się w przyjaciela. Piękna twarz Gregor a zmieniała się bardzo. Zaostrzone były rysy, zacięte usta, oczy zaognione i dzikie. Nie zdradzał

wrażenia żadnego, tylko niekiedy szczęki mu drżały, a źrenice zwężały się i ciemniały.

— Czy już późno? — spytał Maksymow.

— Druga po północy.

— Czy mnie jeszcze długo... tak?

— Nie wiem! — odparł twardo.

— Ty wiesz. Powiedz, żałujesz mnie? Gregor głową skinął.

— Naprawdę?... — Maksymow począł się uśmiechać.

— Bo ja ciebie bardzo kochałem, bardzo! Żebyśmy mogli do Kijowa znowu wrócić. O, Kijów! Szedłem z tobą w tym długim boju strasznym. Mnie kres, ty może wielki dzień ujrzysz! A po owym dniu, kiedyś, na Askolda mogile, twój pomnik stanie. Z tej góry królować będziesz. Pod tobą 127

Dniepr wolny, przed tobą Ruś swobodna. O Gregor! Mnie ta myśl roiła się zawsze, zawsze!

Po ustach Zachareńki przemknął szyderczy uśmiech.

Gorzkim, brutalnym słowem chciał to rojenie przeciąć, a Maksymow to zrozumiał, zadrżał przerażony.

— Nie mów nic, nic! — zawołał. — Ja umieram już!

Mnie już wolno śnić!

— Śnij więc! — rzekł Gregor, dłoń mu na czole kładąc.

I tak pozostał. Nie zmienił swej odzieży, krwią zbryzganej, zmiętej, nie uchodził. Doczekał rana, aż zwalczony przewielmożnym zmęczeniem, usnął u tego łoża śmierci.

Tak go zaszło południe. Zbudził szelest otwieranych drzwi, brzęk ostróg i szabel. Wstał gwałtownie, wyprostował się, do drzwi rzucił, chcąc, by go nie tutaj wzięto, by Maksymow tego me widział. Ale w progu natknął się na mur piersi, na ręce zbrojne i cofnął się z ohydą przed tą tłuszczą swych katów.

I Maksymow się ocknął, spojrzął, zrozumiał i ostatnim wysiłkiem na posłaniu poderwał.

— To ja! — krzyknął, rękę okaleczoną podnosząc —

bierzcie... ja... bóbr!

To go dobiło. Zachwiał się i upadł na powrót z jękiem długim, ostatnim.

Policja napełniła pokój.

Gregor oblicze umarłego ucałował i okrył, potem ręce skrzyżował i czekał.

Żandarmi, przygotowani do walki upartej, mimo woli poczuli dlań szacunek.

— Ruszaj z nami! — któryś starszy rzekł. Postąpił

naprzód spokojny.

Przed kamienicą tłum gawiedzi się zebrał. Gdy go 128

ujrzano, rozległo się wycie, pisk, klątwy, tumult.

— Zbójca, łotr, potwór!

Gruda zmarzłej ziemi uderzyła go w czoło, inna w ramię. Spojrzął na twarze te namiętne, rozjuszone i zachwiał się. Tłum łamał szyk policji, wyciągały się ramiona, pięści.

— Nam go dajcie, nam! — wołano — My jego prędzej sprawimy! Obcasami go zdeptać! Dawajcie szelmę, nihilistę! Dawajcie!

Policja dobyła szabel i rewolwerów. Zaledwie zdołano wsadzić Gregora do oczekujących sanek, wyrwać się spośród tłuszczy. Ruszyli cwałem, bo wszędy tłum się zbierał, żądny kary i pomsty.

Gregor patrzył, słuchał; strasznym, ponurym ogniem gorzały mu oczy, wreszcie zaśmiał się i plunął.

Wziął od ludu swoją nagrodę.

129

XI

MORDERCA I ULICZNICA

Za trumną Glebowa szli dygnitarze i toczyły się setki karet. Poprzedzały ją muzyki i wojska. Zbiegł się cały Petersburg. Niesiono jego ordery, wieńce, bito w tysiączne dzwony. Tylko z rodziny nikt nie towarzyszył! Sewer leżał

śmiertelnie chory, Gizella usunęła się od wszelkiego współudziału.

Trupa Marii Achtarow pochowała policja po sekcji urzędowej. Walały się te piękne zwłoki po prosektoriach, aż je wrzucono w dół, jak rzecz niczyją, bez nazwy i pamięci. Została tylko jeszcze w procesie Glebowa, jako skandal, obrudzona po śmierci nawet, ulicznica. Na to ją niegdyś student biedny z błota wydobył, uczył, szanował, czcił...

Ulicznicą się stała, on mordercą!

Pochowano też Maksymowa. I po nim tylko zostało imię zmyślane w liście cmentarnej, żadnej, żadnej pamięci.

Teraz aresztowano setki, proces się toczył, a wśród tej krwi, czarnych tajni więzień i sądów, Petersburg hulał, szalał, zajęty już czymś nowym, modnym.

Po paru tygodniach wspomniano tylko Glebowa. Gdy Sewer, po tygodniach całych nieprzytomności, otworzył

oczy i myśleć począł, ujrzał nad sobą żonę wymizerowaną, bladą. Pierwsze to jego spojrzenie powitał jej uśmiech radosny, a on, mimo woli tą radością zarażony, też się uśmiechnął, ze szczęśliwością wracającego życia.

Pierwszym objawem tego nowego życia było uczucie 130

dla swej opiekunki.

Zda się, przeszłości nie pamiętał, zda się, ją zaledwie teraz poznał, bo przypatrywał się jej godzinami całymi, wzywał, gdy odeszła, zasypiał trzymając jej rękę, budził się ją wołając.

Zaprawdę, teraz dopiero, niedołączny jak dziecko, poczuł, co jest kobieca czułość i troskliwość. Pokochał łagodność i cichość tego starania i opieki, delikatne dotknięcie dłoni, słodczy głosu i uśmiechu.

Napatrzeć się nie mógł, nasłuchać.

Była to pieśczoćta matki, która go opuściła, siostry, której nie miał; dusza w nim tajała i, często osłabiony, płakał jak dziecko, dając się utulić pieśczoćtą łagodną.

Bez żadnych objaśnień do tego przyszło. Ona go jak dziecko dogładała. Straciła swą sztywność i chłód. Witała go serdecznie i dzień cały nieodstępna, bawiła, podawała lekarstwa, zawsze z uśmiechem i czułym słowem.

On sobie przypomniał, jak ją matka wołała, i rzekł do niej „Gizi”, ona mu mówiła „Sewer”. Tak się to ułożyło jak rzecz najzupełniej naturalna. Ale wracało życie, a z nim pamięć, wspomnienia. Ona czuwała nad nimi.

Raz Sewer, po długim milczeniu, spytał:

— Czy dawno ja tutaj?

— Już miesiąc! — odparła, dłoń mu po włosach przesuważając.

— Zrobiłem ci wielką przykrość. Nie gniewasz się bardzo, Gizi?

— Nie Sewer. Jestem ci żoną; cierpienie twoje do mnie należy. Mówiła to tak słodko, że w nim poczęło serce bić nieznanym, głębokim drżeniem.

— O Gizi! ja bardzo zły jestem — szepnął.

— Będiesz dobry, Sewer!

131

— O, będę, z tobą!

Pochyliła się, ustami dotknęła czoła. Potem spytał:

— Gdzie to ojciec?

— Wyjechał.

— Tak? Dawno? Nawet się o mnie nie troszczy?...

— Musiał wyjechać, Sewer.

— Kiedy wróci?

— Nie wiem.

— A znajomi przychodzą?

— Tak, ale ich nie przyjmuję!

— Dobrze! Oni by pletli nowiny, a mnie tak teraz spokojnie, i pytaliby, patrzyli, a mnie taki wstyd, o wstyd!

— Nie będą pytali, Sewer. Jam winę na siebie wzięła.

— Jak? Powiedz?

— Powiedziałam, że byłem zazdrosną i piekło ci w domu robiłam; że cię do desperacji doprowadziłam scenami.

— O Gizi! O Gizi!

— Nic to, Sewer. Zdrów bądź, dobrej myśli. Bóg ci przebaczy.

— O, Bóg! Nie! — szepnął wzdrygając się.

— Przebaczy! — powtórzyła z przejęciem. Potrząsnął

głową, wzruszony do głębi. Potem znów rzekł:

— Żebym ja stąd wyjechać mógł.

— Wyjechać musisz, Sewer. Potrzeba ci innego klimatu na twe płuca naruszone.

Poweselał widocznie.

— To dobrze! Wyjedziemy tam, do ciebie. Przyjmiesz mnie, Gizi, w swoich górach?

— Przyjmę, Sewer.

— Ach, żeby już tutaj nie wracać. Żeby biednym być, nieznanym, samotnym! Żeby ludzi nie widzieć i tak nie żyć 132

tym strasznym życiem! Wiesz, byłem kiedyś takim biednym, bodajem był został. Teraz mi wstyd, źle, gorzko, a najbardziej taki wstyd, wstyd!

— To minie, Sewer. Wyzdrowiejesz, pogoisz rany, odpoczniesz. Nie będziesz biednym, ale będziesz spokojnym! Zdrowiej tylko.

On zdrowiał. Wracał mu sen, apetyt, siły. Pewnego dnia, gdy już wstawać chciał, postanowiła Gizella odkryć mu los ojca. Już siedział na posłaniu, o nią oparty i bawił się kwiatem, który mu przyniosła z krótkiej na miasto wycieczki.

Dotknęła ustami jego czoła i rzekła:

— Złą ci wieść powiem. Ojciec jest chory. Oczy podniósł i łzy jej dostrzegł.

— Bardzo mu źle? Cóż to?

— Jest ranny.

— Pewnie jaki nihilista?

— Tak!

— Tom ja mu zawsze prorokował. Mój Boże, ci ludzie chcą tego, co posiada już cała Europa, a ich za to wieszają.

To wyradza zemstę. Ojciec był nieubłagany. Kiedyż to się stało? Jutro wstanę i odwiedzę go.

Objęła mu głowę rękoma i milczała. Zaniepokoił się.

— Jest bardzo źle, Gizi? Nie płacz. Powiedz wszystko. Za wiele ci zgryzot naraz, ale jam już silny.

Pomogę ci!

— Pomóż, Sewer. Twojej siły mi trzeba. Bardzo jest źle, bardzo!

Spojrzał ku niej, nagle pobladły.

— Ty mi nie mówisz prawdy? Umarł! — zawołał.

Zrozumiał tę długą ojca nieobecność.

Ona go w milczeniu pocałowała tylko, wciąż do siebie 133

tuląc. Zapłakał szczerze po swym dobrodzieju, ale wnet się powściągnął i jął pytać o szczegóły. Opowiedziała mu wszystko, jak mogła najwzględniej. Poczł wielką gorycz.

— To wtedy on tam pojechał, gdym ja tutaj konał! —

rzekł z cicha.

Potem spytał już spokojniej:

— Ujęto mordercę? Kto taki?

— Młody człowiek. Nazajutrz go ujęto. Nazywa się Gregor Zachareńko.

— Gregor! — wykrzyknął.

— Co ci? Znasz go?

— O Boże! — zajęczał.

— Co ci? Któż to? Powiedz, Sewer? Usunął jej ręce i desperacko spojrział.

— O, Gizi! Nie dotykaj mnie! Powiem, ale ty mnie znienawidzisz! To ja to uczyniłem. Ten Gregor moim kolegą był w Kijowie. Piękny, zdolny, genialny człowiek.

Miał dziewczkę, którą kochał. To ona, Maria Achtarow. I to ja ją dla ojca tutaj ściągnąłem. Gregora nie było przy niej, jam ją namówił. Teraz ta krew wszystka na mnie spadnie. Mówiłem ci, że mi Bóg nie przebaczy. O, czemu nie umarłem!

— Nie umarłeś dlatego, żeś powinien złe naprawić, do dobrego wrócić. Wobec sądu tego człowieka i śmierci, która go czeka, powinieneś swe zeznanie złożyć. To mu karę złagodzi, tobie da spokój sumienia. Powinieneś doń pójść i przebłagać. Skrzywdzony on, może zgubiony! Szał

kierował jego ręką, jak szal ciębie prowadził. Nieszczęsny szaleniec, lecz stokroć winniej—szy ten, kto do szału doprowadza.

— Pójdę zaraz do sądu! — zawołał podniecony.

— Nie, Sewer, jutro. Dziś zanadto wrażeń. Zatopił się w 134

ponurym rozmyślaniu.

— Powiem wszystko! — rzekł z mocą. — Ale chcę stąd uciec, nie wrócić nigdy. Tu za życia człowiek się rozkłada, w beczynności, w zbytku, w szale. Jam się zaparł

człowieczeństwa, braterstwa, Boga... Mnie wstyd, wstyd!

Zaledwie go uspokoiła. Nazajutrz rano zerwał się z pościeli, zawołał Agafona.

— Nie ma już go u nas! — oznajmił mu inny lokaj.

— Nie ma? — zdziwił się. — Odprawiłaś go, Gizi? —

spytał wchodzącej żony.

— Musiałam. Po śmierci ojca człowiek ten zapadł w melancholię. Płakał tylko. Wreszcie do nóg mi padł i o uwolnienie prosił. Bał się o swe zagony, żeby ich bracia nie rozgrabili, o „izbuszkę” starą, którą po ojcach miał

odziedziczyć, o żonę chorą. Za wierną służbę nie mogłam go przecie niewolić.

— Zapewne... I ten się z Petersburgiem zżyć nie mógł.

Otóż jestem już na nogach. Muszę się wyprowadzić od ciebie. Lokator był przykry. Może mnie już więcej nie przyjmiesz, Gizi? — dodał ciszej.

Zbyła go milczeniem i rumieńcem.

Pojadę do sądu! — rzekł. — Muszę Gregora widzieć.

Pojedziesz ze mną. Będę na ciebie czekała w karecie. Tyle naraz czynić nie możesz. Dzisiaj dosyć ci będzie rozmowy z prokuratorem.

Ruszyli.

Śledztwo toczyło się przy drzwiach zamkniętych, ale przed Sewerem drzwi się rozwarły. Sala była prawie pusta, trochę publiki uprzywilejowanej, w głębi sąd zasiadał

właśnie. Przed kratkami, eskortowany przez dwóch żandarmów, stał człowiek w szarej odzieży więziennej. Za stołem siedzieli sędziowie koronni, na ścianie, w głębi 135

dominował portret cesarski.

Sewer przycisnął się do kratki i spojrzał na więźnia.

Stłumiony okrzyk wydarł mu się z gardła. To nie był

Gregor, to był drugi kolega kijowski, Bronisław Świda.

Ten skąd się tu wziął, dlaczego, po co? Przeciwnik socjalistów i wicherzycieli, człowiek głębokiej wiary i zasad uczciwych. To on był, wymizerowany więzieniem i śledztwem, blady, straszny w swym szynelu zbrodniarzy.

Pytano go po raz setny może, krzyżując pytania, łowiąc za słowa, poddając insynuacje, zmuszając do wyznania.

On, jakby ogłuszony i niezupełnie przytomny, niekiedy nie dosłyszał i nie odpowiadał. Trącał go wtedy żandarm brutalnie, a on wznosił na pytającego oczy wielkie, żałosne i głosem złamanym powtarzał:

— Nic nie wiem, panie! Nic nie wiem!

Sewer osunął się na ławkę, widokiem tym przybity, rozdrażniony. Gwałtem wstrzymywał milczenie.

Jeden z sędziów, rozjuszony uporem więźnia, uniósł się purpurowy, sycząc zajadle:

— Ja was znam, Polaczków! Wy z rodu gałgany, buntownicy! W każdym zamieszaniu was pełno. Roi się wam król w Warszawie, roi się wam „papa” rzymski!

Pokażę ja tobie jakuckie jurty albo złoto za Bajkałem!

Świda się nagle wyprostował.

— To fałsz! Nie ma nas w waszym nihilizmie.

Gałganów może wy wychowacie. Nie roi się nam żaden król, tylko sprawiedliwość, której nigdzie nie mamy! Jeśli wola Boża, pójdę do Jakutów i za Bajkał. Robak jestem, Polak, wam na pastwę

przez Boga oddany. Nie pierwszy będę umęczony, moi ojcowie tam byli przede mną. Ale gdybyście mnie rzucili tysiąc razy głębiej pod ziemię i tysiąc razy dalej od słońca, wam przed oczy wrócimy
136

wszyscy niewinni kiedyś po śmierci!

— Do tury z nim! — krzyknął sędzia.

Świda, popchnięty przez żandarma, skierował się do wyjścia. Jakże mu błyszcząły wpadłe oczy, jak drżały łagodne usta, jak szedł prosto i śmiało.

Sewer chciał za nim iść machinalnie, powstał i upadł

zemdłony.

I znowu tydzień cały gorączkował i jęczał. Recydywę przetrwał przecie i stał się całkiem innym.

— O, Gizi! — rzekł, gdy o tyle do sił wrócił, że wstać mógł. — Teraz wiem dopiero, w jakim kraju żyłem.

Uchodźmy stąd precz, na zawsze!

Smutny był, przybity, milczący. Opowiedział jej swe kijowskie dzieje. Było ich czterech w jednej stacji.

Odnalazł Gregora i Polaka tam, skąd się nie wraca na świat wolny.

Nie poznawali go odwiedzający znajomi. Nie śmiał się, nie pytał o nic. Zajmował go proces tylko i wyjazd.

Zeznanie swoje złożył w prokuraturii, gdy tylko pisać miał siłę.

Doszło do wyroku.

W urzędowej gazecie przeczytał tegoż wieczora: Gregor miał stryczek, Świda dożywotnią katorgę, kilkunastu innych zesłanie i więzienie długie.

Czytając, zimny pot go oblał, ogarnęła rozpacz.

— Pójdę do tronu!... — rzekł. — Będę błagał!

Gizella blado się uśmiechnęła.

— Skompromitujesz się! — szepnęła z pogardliwą goryczą.

On, podniecony, przywdział swój mundur i order, i ruszył.

Dopuszczony przed oblicze monarsze potrafił prosić, bo 137

po godzinie posłuchania wyszedł z łaską.

Karę śmierci Gregora zmieniono na dożywotnie ciężkie roboty.

Wrócił tryumfujący do domu, by żonie dobrą nowinę obwieścić.

Ona uśmiechnęła się smutnie.

— Czy pewny jesteś, że to łaska, Sewer? Ten człowiek będzie umierał lata!

Tak! — odparł. — Ale to nadzieja. Przychodzą manifesty, ulaskawienia. To nie stryczek ohydny. To jest dla mnie uspokojenie. Dozwolono mi zawieźć mu tę wiadomość. Pojadę zaraz!

Zmęczony był, ale nie mogła go powstrzymać w takiej sprawie. Jak stał w swym złocistym mundurze i krzyżach, pojechał do więzienia.

Wieczór był śnieżny, mętny, wyjący wichrem.

Kareta zatrzymała się przed ponurym gmachem.

Naczelnik przyjął świetnego gwardzistę z całą gotowością do usług. Sam go poprowadził przez długie korytarze, udzielając objaśnień, uprzejmy, gotów prochy ścierać mu spod stóg.

Korytarze milczące były, ciemnawe, wilgotne, pełne gęstego, niezdrowego powietrza. Regularny krok szyldwachów przerywał tylko ciszę i gdzieś dymne lampki oświetlały czarne ściany, żelazem kute drzwi cel, załomy i rozdroża korytarzów. Zdało się Sewerowi, że pochód nigdy się nie skończy. Zstępowali coraz głębiej.

Przodem szedł żołnierz z pochodnią, za nim dozorca z pękiem kluczków, wreszcie on z naczelnikiem.

— Czy pan chce pierwszej widzieć Zachareńkę, czy Świdę? — spytał urzędnik uprzejmie.

— Zachareńkę! — odparł lakonicznie.

138

— To pójdziemy dalej. Tutaj cela Świdy.

Zstępowali coraz niżej.

Nareszcie żołnierz z pochodnią stanął, klucznik zadzwieczył kluczymi, obracając ze zgrzytem sprężynę.

Drzwi się rozwarły, wewnątrz było ciemno i nic się nie poruszało.

— Zawieś lampkę na ścianie! — rozkazał naczelnik dozorce, a sam się z drogi usunął przed Sewerem.

— Zostanę sam z więźniem! — rzekł tenże, wchodząc.

Postąpił kroków parę i stanął orientując się. Cela była wąska i długa, z otworem tak wysoko umieszczonym i tak małym, że nie było to okno, tylko szczelina. Zresztą miała w kącie drewniane posłanie i nic więcej.

Gdy dozorca dymną lampkę zawiesił, dojrzał Sewer szary kontur człowieka siedzącego na posłaniu, który się wcale nie poruszał. Strażnik drzwi za sobą zamknął, dawni koledzy spotkali się tedy znowu sam na sam, po latach. Od Sewera bił blask złoceni i jaskrawości, Gregor był siwą plamą pleśni.

Oficer miał dech zabity złym powietrzem i długą wędrówką, wrażenia okropne odbierały mu prawie przytomność. Więzień, olśniony zrazu światłem, teraz oczy na niego podniósł i spytał:

— Czego wy jesteście tutaj, żołdaci? Czy mi już pora?

Głos miał tak zmieniony i wyglądał tak strasznie, że Sewer się zatrząsł ze zgrozy.

— To ja, Gregor! — rzekł. — Nie poznajesz? Sewer.

— Ach, ty! Ojca ci zabiłem! Czego chcesz?

— Przychodzę cię przeprosić!

— Za co?

— Za tę dziewczynę twoją. Daruj!

— Dziewczynę moją! Prawda, była tam jakaś kobieta.

139

Może i moja kiedyś była, nie pamiętam! Przez moją głowę toczyły się skały, lały oceany, osłabła.

Mówił z trudnością, patrząc w światło.

— Ile czasu byłem po ciemku? O, długo!

— Siedziałeś w ciemności? Ciągłe? — zawołał Sewer.

— Tak. To ma być męka dla ułatwienia wyznań. Były różne inne! Na nic się zdały. Dla mnie nie ma już męki dostępnej, od chwili, gdy mnie lud lżył i błotem obrzucił.

— Chory byłem, inaczej by sąd poszedł, gdybym wiedział, że ty jesteś.

— Sąd?! Alboż to sąd był? Stałem przed sługami tronu, oni stroną byli, nie sędziami. Dlatego milczał. Niechby sąd był jawny i wolny, z ludu tego ruskiego, z cierpiących tych, z krzywdzonych, ja bym mówił wtedy.

Powstał więzień, ale tak słaby był, że opadł znowu na pryczę. Podniecony był w duszy i posepnym ogniem pałały mu oczy.

— Ja bym mówił wtedy, żeby mnie Ruś cała słyszała.

Wnętrznosciami matek bym mówił, których synowie zaludniają kazamaty i kopalnie lub giną w wojnach za obce im sprawy. Mówiłbym spiekłym gardłem nędzarzy, co przez całe życie nie kosztowali mięsa i tych, co z nędzy znikczemnieli, kradną, i tych, co z wolnych niewolnikami się stali, i tych bydłat pijanych, i tych mas ciemnych, i tych spodlonych plemion, gwałtem zagarniętych! Mówiłbym i niechby mnie lud ruski osądził! Ten lud, co plwał na mnie, a który rad, że ja szyję włożę w pętlę!

— Nie włożysz, Gregor! — przerwał Sewer, ale więzień; nie słysząc przerwy, mówił dalej:

— A przecie taki dzień idzie, że masy powstaną. To olbrzym, co sił nie zna swych i który ogłupiają z zasady.

Darmo, darmo!. Mózg jego pracować zacznie i upoi go 140

wreszcie woń tej krwi wrażej, którą my lejemy. Teraz on się tej krwi lęka, bo jej jeszcze mało, plamy, kałuże zaledwie. Ale tą krwią spłyną ruczaje, rzeki. Pójdzie Wołgą, Sanem, Dnieprem, Dźwiną, aż w kąty–zakąty Rusi.

Obudzi olbrzyma! Hej! Wtedy sądy będą, wtedy moje kości mówić będą, wtedy stanie prawo i spokój! A teraz niech ja idę na stryczek! Ja nawóz nowych posiewów. O, zejda one, zejda!

— Gregor! — zawołał oficer — ty się mylisz! Alem ja z tobą dysputować nie w sile. Jam człowiek przeciętny, wystarczą mi do śmierci walki i prace w sobie samym, i myślę, że gdyby każdy to uczynił, spokój i prawo samo z siebie stanęłyby na ziemi. Jam do ciebie przyszedł z czym innym. Przyniosłem ci łaskę.

Więzień teraz dopiero odzyskał równowagę. Popatrzył

nań uważniej i głosem zgasłym, apatycznym spytał:

— Jaką łaskę? Zostawią mi światło może?

— Nie umrzesz, Gregor. Zmieniono wyrok.

— Jak to? — Skazany podniósł się i stanął z szyją naprzód podaną, dysząc strachem.

— Zamiast kary śmierci masz ciężkie roboty tylko.

Stamtąd wrócić można.

— Nie umrę? — zachrapał dziko Gregor, pięści podnosząc i chwiejąc się na nogach. — Jakim prawem nade mną tak się pastwią? Śmierć mi już odbierają, jedyną własność? Ja nie chcę żyć! Nie

chcę, nie będę!

— Gregor, opamiętaj się! — zawołał Sewer. Więzień chrapać począł i pluć. Krew mu szła z gardła.

— Bodajeś był przeklęty, ty i twój monarcha! Skazany jestem, nie należę do was. Won stąd, sołdacie! Zobaczmy, kto potężniejszy car czy ja! Won, ty!

Mimo woli przed tym szaleńcem, który szedł nań z 141

krwią na ustach, a zapamiętałością w oczach, Sewer cię cofnął. Z korytarza dozorca, słysząc głośniejszą rozmowę, drzwi otworzył. Oficer wyszedł zataczając się, za nim się odrzwia zamknęły z głuchym łoskotem.

— Pan naczelnik kazał „wasze sijatielstwo” przeprosić

— rzekł żołnierz. — Musiał odejść.

Sewer otarł pot z czoła i długo stał oparty o ścianę, wypoczywając.

— Zostawcie światło temu więźniowi — rzekł. — On ciężko jest chory!

— Oznajmię doktorowi. Pan naczelnik kazał pana zaprowadzić pod nr 78.

— Dobrze, prowadź. Dozorca mówił po chwili:

— Ten człowiek, w czasie śledztwa, dwa razy zabić się usiłował. Oho, dopilnowałem go! Jednakże rad będę, gdy go już zabiorą precz! Twardy on, twardy!

Sewer nic nie odrzekł, nie słyszał.

Znowu stanęli u drzwi zamkniętych, które stróż odryglowywać jął.

— Ten inny, inny! — szeptał. — Czasami tak gorzko płacze, że aż żal bierze. Ten się co dzień modli, klęcząc.

Widziałem.

Drzwi się rozwarły, Sewer ujrzał celę do tamtej podobną, lecz oświetloną nędzną blaszaną lampką. Przy niej człowiek siedział na ziemi i pisał list, oparłszy papier na brzegu pryczy. Obejrzał się i ujrzawszy gościa wstał

spiesznie.

— Sewer! — wyrzekł tonem wielkiego zdziwienia.

— Ja sam! Widziałem cię w sądzie, przyszedłem odwiedzić, pocieszyć, jeśli można. Skąd ty tutaj? Za co?

— Nie wiem! Jak matce nieba pragnę, tak nie wiem!

Usiądź, powiem ci, jak to było!

142

Sewer siadł obok niego na pryczy, a Polak mówił

spokojnie:

— Latem Gregor mnie odwiedził. Ze zwykłą sobie brutalną szczerością powiedział mi, skąd idzie, kim jest.

Przyjąłem go, bo chory był i kolega szkolny. Opętany był

swą ideą krwawą, wstręt mi czynił, alem go nie nawracał

ani z nim dysputowałem. Bo i po co? Zabawił czas jakiś, kilka tygodni. Na odjeźdźnym poróżnił się ze mną i znikł jak duch zły, zostawiając mi w duszy gorycz, żal i ciężar. Odtąd zapomniałem o nim. Aż oto po ostatnim zamachu, który wyczytałem w gazetach, pewnej nocy policja do mnie wpadła. Nie pytano o nic, nie tłumaczono mi, co to znaczy, zarządzono ścisłą rewizję. Mnie wzięto na wóz, dwóch żandarmów odstawiło mnie do powiatu. I oto jestem. Spod prawa wyjęty, życia pozbawiony, pojutrze idę za Ural, za Irtysz, za Lenę i nigdy już nie wrócę, chyba duchem, gdy śmierć mnie wyzwoli. Sewer się porwał za głowę odurzony.

— To niemożliwe! To wołające o pomstę! — krzyknął.

Więzień głowę zwiesił.

— To prawda! — szepnął. — Z narodu jestem zniechęconego, skazanego na zgubę. Szukałem tutaj po ścianach, czy swego nazwiska nie znajdę, wydrapanego w kamieniu, boć moi tu pewnie byli przede mną.

Ha, ginąć trzeba! Po tom ja się uczył dwanaście lat, głodem przymierając, byt zdobywał, gniazdo sobie zakładał. Ot, i skończone wszystko. Pojutrze w drogę ruszam. Mój Boże! I co dziwnego, że młodzież w moim kraju wegetuje apatyczna lub hula bezmyślnie i próżniaczo!

Po co nam nauka, trud, praca? Aby tutaj trafić?

Sewera oblał rumieniec. Spuścił oczy, sromem zdjęty i wspomnieniem swego żywota.

143

Świdę opanował żal i wzruszenie.

— Dziękuję ci za pamięć! — rzekł. — Tyś dobry!

— Żebym dla ciebie cokolwiek uczynić mógł?

Potrzebujesz pieniędzy zapewne? Weź, ile chcesz.

— Nie! — potrząsnął głową Polak. — Na koszt carski idę i na co mi pieniądze? Ja bym cię prosił o dwie rzeczy.

— Mów, spełnię!

— Daj mi książkę jedną Pana Tadeusza, do torby, i ten list weź z sobą. Niech go wraże oczy nie czytają, nie cieszą się, że mnie tak boli!

— Dobrze. Książkę ci jutro przyniosę z sobą, a list wyślę rekomendowany.

— Dziękuję, Sewer. Dzięki Bogu, że ty szczęśliwy!

— Daleko mi do tego.

— Wolnyś.

— Tak, i skorzystam z tego, by kraj ten na zawsze opuścić.

Żonę mam, to moja siła.

— Daj ci Boże wszystko dobre! — szepnął Świda.

Za drzwiami rozległo się chrząkanie dozorczy, hasło zakończenia wizyty.

W milczeniu uścisnęli się.

— Do jutra — rzekł oficer ukrywając list na piersi.

Zgrzyt rygli się rozległ, potem szmer kroków i wróciła znowu cisza grobu i niedoli.

A tymczasem w celi Gregora pozostawiona lampka kopciła ścianę, mało chybotliwego blasku rzucając dokoła.

Zachareńko, po wyjściu Sewera, zwinął się na pryczy wyczerpany wysiłkiem.

Przed oczami myśli, czerwono mu było od krwi, gorączka go ogarniała.

Człowiek ten, od czasu ostatniego mordu, żył tylko 144

nadzieją śmierci. Nie miał siły żyć, bolał go ruch każdy, słowo, myśl. Pożądał kresu, zmęczony, wyżyty, wypalony, swą szaloną, denerwującą egzystencją.

Dobiło go więzienie i śledztwo. Parę miesięcy samotności bez światła, natężenie wobec sądu, by nic i nikogo nie zdradzić, gorycz tych klątw ludowych...

Niedowiarek, widział przed sobą nicość, której łaknął, czując się kagankiem bez oleju, gwiazdą spadłą, oślepionym ptakiem.

Po wyroku odetchnął i zmartwiał do reszty. I nagle temu nieszczęsnemu rzucono łaskę, życie, i ujrzał przed sobą szereg dni męki, lata cierpień, lata istnienia. Zagotowało się w nim, zapienił wściekłością, wył i gryzł drzewo pryczy, potem padł i w kabłak zgarnięty, ostatnim wysiłkiem zebrał zmysły.

Śmierci chciał, ale tu i śmierci znaleźć nie można było w tej celi.

Z czołem opartem na drzewie, począł raz pierwszy w życiu mocy nad się większej wzywać i prosić.

— Daj mi śmierć, ty Boże Czarny, ty Boże złych i przeklętych, ty Boże krwi i ognia, ty Boże zemsty i odwetu! Maksymow mówił, żeś ty jest potężny. Ktoś ty?

Gdzie ty? Jam nigdy nie prosił, nigdy pomocy nie wołał.

Teraz przyjdź. Daj mi śmierć. Słyszysz?! Zdruzgocz ten czerep mój. Ja proszę ciebie.

Zsunął się z pryczy i na wilgotnej ziemi przykląkł

skulony.

Wzrok jego, w którym obłęd był, wpił się w płomyk lampki. Nic ludzkiego nie było w twarzy. Wykrzywiony konwulsyjnie, szeptał dalej bezładnie:

— Za tę wszystką krew, com wylał, chcę siebie zniszczyć. Gdzież ten Bóg Biały, niech mnie karze!
Gdzież 145

Czarny, niech nagradza. Was nie ma żadnego, a ja plwam na was.

Plunął w powietrze i pięścią czemuś niewidzialnemu pogroził.

— Szydzą ze mnie ci, których pomordowałem, patrzą i wykrzywają się. Won, wy!

Zerwał się na nogi charcząc.

Nagle stanął i umilkł, zasluchany w coś, zapatrzony. Na rysy spokój powracał. Oczy ku lampie wzniosł i postąpił ku niej chwiejąc się. Twarz jego, chuda jak u szkieletu, coraz się stawała przytomniejszą.

Podniósł ramię ku lampie. Ale stróż umieścił ją tak wysoko, że ramię nie dosięgało. Więziń sekundę myślał, szukając oczami stołka. Daremnie. Oprócz przykutej do ściany pryczy nic nie było. Wtedy szalenięć podskoczył, chcąc lampę uchwycić, i znowu nie dosięgnął. Więc począł

jak zwierz drapać się na ścianę. Palce wpijał w kamienie, krwawił je, opadał, rozpoczynał znowu.

Wreszcie uchwycił się, jak szponami, nierówności muru, dźwignął się nad ziemią. Wyciągnął szyję, roztworzył

szczęki, zębami uchwycił blaszankę i zmiażdżył ją wściekle.

Ze zdobyczą swoją zwałił się na wznak, porwał ją w ręce. Płyn polał się po nim i natychmiast buchnął płomień.

Włosy jego zajęły się pierwsze, potem ogień pobiegł po twarzy, na szyję, na ręce i już łuną czerwoną objął odzież.

Szaleniec począł się wić, dusić dymem, w celi ta postać potępieńca gorzała chwilę jasno, potem blask przygasł, zaczęło się tlenie, wyżeranie, swąd spalenizny, czerwone skierki, dym i wreszcie uczyniła się znowu zupełna ciemność.

Dym przedarł się na korytarz, dostał się wreszcie do 146

nozdrzy szyldwacha. Żołnierz zaniepokoił się przypuszczeniem pożaru, zaalarmował dalsze posterunki.

Wezwano spieszenie dozorcę z kluczami, dano znać do naczelnika.

Znowu po mrocznych przejściach zamigotały światła, rozległy się rozmowy.

Urzędnik miał gości. Odwiedził go Lanin, sekretarz z trzeciego wydziału, dobry znajomy i przyjaciel.

Wstąpił po przechadzce z ładną dziewczyną, której fantazja przyszła zobaczyć więzienie. Lanin fantazjom jej nigdy się nie opierał. Wpadli do naczelnika, oboje trochę podchmieleni, śmiejący, śpiewający. Dziewczyna swawoliła z nimi, rzucano sobie pieprzne dowcipy i dwuznaczniki, bawiono się wybornie w kawalerskim lokalu, gdy stróż przerwał zabawę wieścią o dymie.

— Psia służba! — burknął naczelnik wściekły. — Wy po co jesteście, kanalie?! — wpadł na dozorcę. — Czemu nie pilnujecie? Won, zaraz idę!

— Chodźmy razem — rzekł Lanin.

— A dobrze. Zobaczymy, co się stało, i wrócimy tutaj.

Posłałem po zakąski i wino.

— „Wypij, duszko, jednym tchem!” — zanuciła dziewczyna ocierając się o niego.

Wyszli śpiewając fałszywie umyślnie. Już z dala swąd spalenizny czuć się dawał. Mała gromadka ludzi, w fantastycznym oświetleniu pochodni, dążyła bardzo spieszenie.

— Panie — rzekł dozorca — to z numeru, gdzieśmy byli z oficerem. Ten zbój uczynił sobie coś złego.

— Ruszaj prędzej! — fuknął naczelnik.

Dziewczyna śpiewać przestała. Rozglądała się ciekawie, oczy jej błyszczały dziko.

147

Dotarli nareszcie do celi Zachareńki.

Dozorca drzwi rozwarł. Kłęb gorącego dymu odrzucił

ich na chwilę. Oślepieni byli, zduszeni.

Dziewczyna poskoczyła pierwsza, za nią żołnierze z pochodnią. Dym, ujście sobie znalazłszy, rzedniał, i oto ujrzeli na posadzce kupkę czarną, długą, po której, zbudzone dostępem powietrza, poczęły biegać jak żywe, jak mrówki czerwone skierki ognia.

Dziewczyna pochyliła się nad tym milcząca, skamieniała

‘ze strachu i boleści. Ujrzała głowę straszną, osmoloną, wyżartą twarz, z której bieleły wyszczerzone zęby; dalej członki wyprężone, na których spopielwały szynel tłał, a spod niego widniały szmaty popękanego ciała.

— Ot, kanalia, zgorzał! — zabrzmiał głos dozorczy. —

Taka wdzięczność za łaskę i za tę lampkę, com mu zostawił! A zwierz dziki!

— Doktora! — zawołał naczelnik.

Lanin zajrzał i cofnął się, ohydą zdjęty.

— Tfu! — splunął. — Sonia, chodźmy stąd, nie strawię obiadu.

A gdy dziewczyna nie wracała, dodał ramionami ruszając:

— Ot, kobieca ciekawość. Mnie mgli.

Sonia długą chwilę wpatrywała się w trupa. Oczy miała suche, usta zacięte, nozdrza rozdęte. Dyszała tylko ciężko i rękami gasiła te mrówki czerwone, co biegały po zwłokach.

— Sonia! — powtórzył niecierpliwie Lanin.

Pochyliła się do samej twarzy Gregora.

— Żegnaj wodzu! My pamiętamy! — szepnęła.

Wzięła garść tego popiołu i wstała. Wsunęła relikwie do chusteczki, gdzie miała już flaszeczkę małą, ostatni dar, który mu przyniosła za późno, i wyszła na korytarz.

Już doktor nadchodził, rozpytując o wypadek. Obejrzał zwłoki, skonstatował śmierć przez uduszenie i wyszedł spiesznie.

Celę zamknięto znowu, gromadka ludzi wracała, rozmawiając swobodnie.

— Temu życie nie było słodkie! — zaśmiał się Lanin.

— Zdrowe nerwy! — dodał naczelnik.

— Właśnie chore! — poprawił doktor. — Człowiek zdrow ma instynkt zachowawczy. Samobójca musi mieć zboczenie!

— Taki socjalista to pies wściekły.

— Ja bym nie chciała być władcą — szepnęła dziewczyna.

— No, ten już nie ukąsi.

— A ci, co zostali?

— Ha, ci, zobaczymy! — zamruczał doktor niewyraźnie.

— Ja ich zobaczę niezawodnie w swej chałupce zaśmiał

się naczelnik. — Tymczasem wstąpcie do mnie. Wypada zalać ten czad, cośmy połknęli.

— Racja! — zdecydowano ochoczo.

Zaczęto pić, dowcipkować, śpiewać. Sonia przechodziła z rąk do rąk, wrzawa rosła, wzbierała fala podniecenia.

Obok, w kancelarii więziennej, pisano protokół

wypadku. To była stypa po Gregorze.

* * *

Strawiły go do cna te mrówki czerwone, te myśli ognia, co wszelki twór ludzki niszczą i zjadają. Takie jego myśli były, ogniem ludzkim, po którym, miast gmachu, zostają zgliszcza. Nazajutrz ujrzał go Sewer już w trupiarni, rzuconego na stos z kilku innymi, co tej nocy także 149

dobiegli kresu.

Miał pogrzeb skarbowy, bezpłatny...

W oświetleniu dnia szydził swym kurczem agonii, urągał swymi ranami ludzkości i bólow.

— Demon! — szepnął Sewer ze zgrozą.

Wieczorem włączono trumny na jeden wóz. Za konduktem tym nikt nie szedł. Tylko na chodniku towarzyszyła tym zmarłym dziewczyna niosąca w ręku zawiniątko. Wóz jechał prędko i trudno jej było nadążyć.

Przybyła na cmentarz, gdy trumny już były w jednym dole i grabarze zarzucali je gruzami i bryłami zmarłej ziemi.

Zatrzymała się opodal, doczekała końca i dopiero gdy ludzie odeszli, złożyła na tej mogile, bez nazwy i znaku, wianek dębowy.

Potem odeszła prędko, nocą okryta. Wracała do Lanina pełna myśli zemsty i krwi.

150

XII

ZAPOMNĘ, ŻE TO MOJA OJCZYZNA

Z wiosną Sewer podał prośbę o uwolnienie ze służby i otrzymał je z jeszcze jednym orderem.

Na świetnym obiedzie pożegnał swój pułk i kolegów, rozstał się oficjalnie z przeszłym życiem, stosunkami i stolicą.

Żałowano go powszechnie. On, zawsze gładki, też żal okazywał, ale wyjechać musiał dla zdrowia, dla żony, której klimat nie służył. Powodów podawał wiele, oprócz prawdziwego.

Teraz na gwałt załatwiał interesy. Majątki generała ustąpił dobrowolnie ubocznym spadkobiercom, pałac sprzedał, kapitały przenosił za granicę. Rwał się precz z kraju, zapracowywał się, męczył w gorączce ucieczki z miejsca, które widziało wszystkie jego hańby i bezecności.

Żona go powstrzymywać musiała, krzepić, uspokajać, stroskana bardzo jego przygnębieniem moralnym, pokrytym sztucznym spokojem i swobodą.

Gdy nie miał pracy, pochłaniającej czas i myśl, zapadał

w odrętwienie. Milczał zatopiony w rozmyślaniu, ponury, z wolą osłabłą, zniechęcony. Klimat go zabijał fizycznie.

Kaszał, męczył się łatwo, nocami gorączkował. Organizm jego, nadużyciem nadwerężony, nie mógł odzyskać już młodzieńczej żywotności.

Gdy otrzymał uwolnienie ze służby, trochę się ożywił, poczuł swobodę. Tego wieczora, już po cywilnemu ubrany, uśmiechnął się do żony.

151

— Podąłem prośbę o paszport. Chyba nas uwolnią.

— Trzeba ci orderu do tuzurka. Masz! — rzekła wpinając mu goździk do klapy.

Przytulił ją do siebie i całował rozkochany.

— W maju zobaczymy już moje góry! — szepnęła radośnie.

— Pojedziemy pierwaj do Wiednia! — rzekł oczy spuszcżając — Do Votivkirche! — dodał ciszej.

Zrozumiąła myśl jego i tylko uściskała go w milczeniu, by nie urazić tego najgłębszego wstydu, zaparcia wiary.

Ale zrozumiąła też, że go to nad wyraz męczy, i pewnego wieczora wstąpiła do jego apartamentów ubrana jak do przechadzki.

— Wybrałam się na nieszpory! Chodźmy razem! —

rzekła zupełnie naturalnie.

Poczerwieniał i oczy spuścił.

— Może ci czasu brak? Nie krępuj się.

— Nie, Gizi! — odparł. — Dziękuję ci, żeś to rozpoczęła tak po twojemu, delikatnie. Myślisz, że ja nie cierpię? O, nad wszelki wyraz. Ja bywam tam, jak złodziej, ukradkiem. Mnie się zdaje, że te mury mnie wyrzucają, że każdy wyrobnik, co tam się modli, może mnie oplwać.

Żebym człowiekiem był, powinienem tam iść w dzień biały, wobec całego świata o przyjęcie na powrót błagać, swą podłość wielkim głosem odwołać. Ale ja nędznik jestem. Boję się, że za to mnie stąd nie wypuszczą, boję się prześladowania, oporu dla wyjazdu i milczę, ohydą dla siebie samego tak przepełniony, że gdyby nie ty, gdyby nie ty...

— Sewer! — przerwała mu błagalnie.

— I ty mną pewnie pogardzasz, choć milczysz... —

wybuchnął rozdrażniony, zrozpacżony.

152

— Ja ciebie tylko kocham, Sewer. Stokroć więcej, gdy więcej cierpisz. Rozumiem twą bojaźń,

słuszna jest tutaj.

Zostań, pomodłę się za nas oboje.

Nareszcie pewnego dnia paszport wydano, Sewer wpadł do żony rozgorączkowany szczęściem.

— Teraz chodźmy tam! — szepnął oddychając głęboko.

— Jutro wyjeżdżamy!

Poszli pieszo, przytuleni do siebie, obcy już jakoby wśród tego miasta i kraju, ledwie poznając spotykanych znajomych. Na ulicach szalała wiosenna szaruga, wiatr gęsty miażdżył lody Newy, chłód przejmował do kości.

— Ohydne miasto! — rzekł Sewer kaszłąc.

Weszli do świątyni, dość pustej o tej porze. Przy jednym z bocznych ołtarzy Sewer na kolana się osunął, drżąc wielkim wrazeniem. Tłum napłynął na nieszpory, ozwały się organy, łaciński śpiew, woń kadzideł. Sewer, z czołem u ziemi, z wielką, powagą odrodzenia w duszy, przypominał swe pacierze dawno nie mówione, wciąż drzeniem przejęty.

Wtem obok siebie płacz usłyszał, płacz głęboki, rozpaczny, przzerwany jękiem głuchym. Mimo woli się obejrzał. Tuż za nim klęczała kobieta biednie odziana.

Ujrzał wyraźnie jej twarz w świetle lampy, przed ołtarzem gorejącej, i coś mu mignęło w pamięci, że twarz tę kiedyś już widział. Łkanie wstrząsało nią całą, rozpacz, ból bezpamiętny wyzierał z oczu wpadłych. Chwilami, jak łoza pod wichrem, kurczyła się do samej ziemi, to znów ją coś podrywało ku górze. Jęk rozdzierał duszę.

Sewer, wzruszony do głębi, pochylił się ku niej.

— Co wam kobieto?

Spojrzała nań przerażona, nieprzytomna. Wpatrzyła się, zamilkła i wreszcie szepnęła:

153

— Pan mnie poznał?

— Jak gdybym was widział już. Nie pamiętam dobrze.

— Znał mnie pan. Ja żona Nikity Siemionowa z Kijowa.

Przypomniał ją sobie teraz zupełnie.

— Ach tak. Już wiem. Gdzież mąż wasz?

— W katorżnych robotach... Myślałam, że go zobaczę.

Uciekł był, ale go znów pojмали, sto pletni wziął, może umarł od nich, czy ja wiem!

Skurczyła się od bólu i rozpaczy, ale już nie płakała, mówiła twardo, dziko:

— Co było w życiu męki, tom przeszła. Onegdaj mi synek umarł. Nie stało Gregora opiekuna... nędza nas zżarła. Myślałam do Nikity iść, teraz nie pójdę, on mnie zabije, zem chłopca nie uchowała, nie daruje, nie uwierzy!

Teraz nie potrzebuję żyć!

Nabożeństwo się skończyło.

Sewer, litością zdjęty, pochylił się ku nieszczęśliwej.

— Gdzie mieszkanie? Przyjdę was odwiedzić! — rzekł.

Chwyciła jego rękę i podniosła do ust.

— Dziękuję, ale ja od wczoraj nigdzie nie mieszkam...

— To chodźcie ze mną.

Kobieta dźwignęła się automatycznie, on żonie ramię podał i w kilku słowach opowiedział zdarzenie.

W tłumie stracili z oczu nieszczęśliwą. Na ulicy zatrzymali się, wyglądając jej — nadeszła. Sewer ją zawołał, ale zdawała się nie rozumieć. Minęła ich obojętnie i szła, do siebie gadając:

— Kosti zimno, zaniosę mu chleba i pójdziemy do taty.

Pójdziemy, synku, pójdziemy!

— Obląkana! — szepnął Sewer ze zgrozą.

Kobieta zmieszała się z tłumem i szła coraz prędzej, prędzej, słaniając się na nogach. W jednej chwili znikła im 154

z oczu, przysłonięta mgłą wieczorną i oddaleniem.

— Co za ruina! Co za otchłań nędzy! Uchodźmy stąd!

— rzekł Sewer wzdrygając się.

Kijowskie czasy stanęły mu żywo w oczach. Sylwetki kolegów, rojenia ówczesne, nędza i nad siły

praca. Z owej garści młodzieży on jeden ocalał, tamtych pożarło życie, wszystkich. Więc owo życie było oprawcą, więc owa praca zgubą, więc ci ludzie mierzwą starej władzy, i nic tu wzlatać nie miało prawa, nic myśleć, nic jednostki podnosić. Zostawał taki, co pełzał, co wyzyskiwał lub szalał bezmyślnie, więcj nikt, nikt!

Sewera czoło rumieniec wstydu pokrył.

— O jedno cię prosić będę — rzekł do żony, gdy z okien pociągu patrzyli na niktące miasto — o jedno prosić. Nie przypomnisz mi nigdy pochodzenia, zapomnisz, jak ja zapomnę, że to moja ojczyzna! To srom!

Potrząsnęła głową.

— Będzie inaczej, gdy na nich kolej przyjdzie, na tych wielkich, tych rządzących, tych sądzących — kolej Bożej myśli, Bożego cudu! Z chaosu światy powstają, gdy przyjdzie — dzień!

155

POSŁOWIE

Popularność Marii Rodziewiczówny nie maleje, a wznowienia jej powieści ciągle znajdują czytelników, wielbicieli jej pióra. Liczne, wielotysięczne edycje, ukazujące się w tak renomowanych oficynach, jak Wydawnictwo Literackie, niejednokrotnie ratowały i ratują nadal ich był materialny. Fenomen poczytności pisarki urodzonej w roku wybuchu Powstania Styczniowego wcale nie jest trudny do rozszyfrowania, aczkolwiek kontrowersyjne opinie o jej twórczości nie ustają, Podkreślił to już w 1935 r. wybitny krytyk literacki i historyk współczesnej literatury Kazimierz Czachowski, pisząc w książce pt. „Maria Rodziewiczówna na tle swoich powieści”, w której wyczerpująco analizuje jej twórczość, że „należy do najpoczytniejszych w Polsce pisarzy.

Popularność zdobyła pierwszymi swoimi powieściami, od razu chwytając za serca. Nie obniżyły jej głosy krytyki, nieraz ujemne lub co najmniej powściągliwe”. Nie brak ich było także w minionym okresie Polski Ludowej, kiedy wprawdzie od pewnego czasu wydawano jej książki, chociaż nieraz krytykowano je i obdarzano negatywnymi opiniami i określeniami. Poza tym w tamtych latach, ze względów cenzuralnych, nie można było wydawać wszystkich utworów, tkwiących w realiach wschodnich kresów Rzeczypospolitej, nie odpowiadających panującej wszechwładnie ideologii marksistowskiej.

Gdybyśmy potrafili zliczyć nakłady jej książek, wydawanych od literackiego debiutu w 1882 r., to kto wie, czy autorka „Czarnego boga” nie osiągnęłaby rekordu 156

wśród autorów publikowanych w języku polskim. Już pomnikowe bibliografie Karola Estreichera i Gabriela Korbuta notują, że w ubiegłym stuleciu autorka

„Straszego dziadunia” posiadała kilkadziesiąt wydań swoich utworów oraz kilkanaście tłumaczeń na języki: czeski, angielski, niemiecki, hiszpański, litewski, serbochorwacki — to

wszystko w ciągu tylko kilkunastu lat! Anna Martuszevska, autorka monografii poświęconej Rodziewiczównie, zatytułowanej „Jak szumi Dewajtis”, wylicza szczegółowo liczbę wydań, tłumaczeń oraz wypożyczeń bibliotecznych niektórych powieści, twierdząc, że „najbardziej czytane i stosunkowo najwartościowsze powieści Rodziewiczówny przekroczyły liczbę dwudziestu wydań”. Naukowa publikacja Martuszevskiej, zawierająca podtytuł „Studia o powieściach Marii Rodziewiczówny”, opublikowana została przez Wydawnictwo Literackie w 1989 r., zawiera więc dane z okresu, kiedy autorka

„Dewajtis” nie była wprawdzie w całości zakazana, ale

„nie wypadało” drukować literatury określanej epitetami:

„brukowa”, „Jarmarczna”, „popularna”. Widać to wyraźnie na kartach książki Martuszevskiej, powstałej w ramach prac naukowo—badawczych węzłowego problemu

„Polska kultura narodowa, jej tendencje rozwojowe i percepcja”. Jest to typowo polski paradoks: z jednej strony oficjalnie tępi się jakiś rodzaj twórczości, a z drugiej prowadzi się — również oficjalnie — naukowe badania na jej temat.

Na szczęście doczekaliśmy się czasów, w których najwięcej do powiedzenia ma czytelnik. Powstało szereg nowych wydawnictw zalewających nasz księgarski rynek literaturą popularną, zarówno polską, jak zagraniczną.

Polak, izolowany przez długie powojenne lata od 157

światowych bestsellerów, literatury kryminalnej, sensacyjnej czy erotycznej, równie często sięga także do powieści rodzimych autorów, nie wydawanych od czasów Drugiej Rzeczypospolitej.

Znany krytyk i eseista, Jan Pieszczachowicz, wyda niebawem książkę poświęconą literaturze popularnej, zatytułowaną „Koniec wieku. Szkice o okolicach literatury”. Złamie on kolejne tabu polskiej krytyki literackiej która uważa, że nie wypada zajmować się „tym tematem”, zbliżając się do gustów czytelnika, starając się zrozumieć jego potrzeby, choć nie kokietując go. W

artykule pt. „Rodziewiczówna, czyli głód nadzwyczajnej codzienności”, opublikowanym wcześniej na łamach

„Przekroju” w 1984 r., wyjaśnia ten autor tajemnicę powodzenia popularnej i poczytnej autorki:

„Potrafiła interesująco opowiadać, kreślić sugestywne sceny i pejzaże a także podejmować tematy, które żywo brzmiały dla jej współczesnych. Utrwalała pamięć roku 1863, nie zawsze zresztą w sposób jednoznacznie apologetyczny. Znękanemu społeczeństwu sugerowała konieczność obrony godności narodowej w okresie rusyfikacji i restrykcji, podjęcia tradycji patriotycznej, rozumianej co prawda konserwatywnie, zachowania stanu posiadania /.../, walki z germanizacją. Jej optymizm zasadzał się na idei solidaryzmu społecznego, tworząc utopię wspólnoty interesów wszystkich mieszkańców wsi, z chat i dworów — w imię patriarchalnego ładu i moralności, w opozycji do miejskiego »zepsucia«.

Z natury romantycznie nastawiona, do świata, podnosząca bohaterstwo powstańców styczniowych, znajdowała się przecież pod wpływem idei pozytywistycznych. Życie szlacheckiego dworu — którego 158

uroki chwaliła, chciała zreformować w duchu »pracy realnej« — unowocześnienia metod gospodarowania.

Uczyła swoich szlacheckich bohaterów dorabiać się, a sama zakładała wiejskie sklepy, świetlice, warsztaty.

Wszystko to jednak nie mogło przesądzić o popularności jej pisarstwa, tak przecież dydaktycznego, zachowawczego i wiernego katolicyzmowi”.

Może tylko w ostatnim zdaniu przychodzi nie zgodzić się ze znanym krytykiem. Właśnie „zachowawczość” i

„katolicyzm” mogą być również przyczyną renesansu popularności autorki „Czacharów”. To wprawdzie bardzo pesymistyczne, ale prawdopodobnie — po szeregu bezkrwawych rewolucji i rewolucyjnych zmian ustrojowych

— znaleźliśmy się znów w XIX wieku, w epoce pierwszych sukcesów Marii Rodziewiczówny. Dlatego też wielu z pewnością wcale nie razi jej katolicki dydaktyzm, dlatego tak chętnie czytamy sielskie obrazki z życia wiejskich społeczności: dworu i chłopów. Józef Dużyk, pisząc w 1986

r. na łamach „Dziennika Polskiego” o nie drukowanym pamiętniku, poświęconym postaci autorki „Lata leśnych ludzi”, autorstwa Stanisława Kwietnia (w latach międzywojennych urzędnika na Polesiu, gdzie żyła Rodziewiczówna) zwraca uwagę na proste, wiejskie życie pisarki i pewne cechy jej charakteru. Rodziewiczówna była wrogiem biurokracji, a w domu pisarki rządziły „własne” prawa, nie licząc się z „kacykami”, nie wyłączając nawet powiatu. Nienawidziła wojny, która w tych stronach zostawiła ponure ślady.

Utwory jej przepelnione są dydaktycznym patriotyzmem, gorącą chęcią trwania przy ziemi ojców, sporo w nich miłości szlachetnej i pięknej. Wcale nie szkodzi, że są schematyczne, trudno zrozumiałe psychologicznie, 159

zwłaszcza dziś, pod koniec XX wieku, a więc w sto lat po ich powstaniu. Czytelnik polski nie odrzuca tych utworów, poszukuje ich, czyta i wciąż oczekuje nowych książek.

Dlaczego mu więc nie ułatwić kontaktu z Rodziewiczówną?

W 1911 r. znany pisarz Adam Grzymala—Siedlecki stwierdził:„/.../ kto zdoła przemierzyć, ile dobrego wpływu w szerokich i przeciętnych rzeszach społeczeństwa wywarły jej powieści, znaczne nie wysokością artystyczną, lecz wiarą w człowieka? /.../. Byłoby przesadą twierdzić, iż powieści Rodziewiczówny wejdą do panteonu literatury polskiej — ale, że te właśnie potulne utwory nauczyły czytać całą warstwę ludzi, że przez popularność

»Dewajtisa« rodziło się na kresach zamiłowanie do literatury w ogóle — to pewne. Ten oświatowy

wpływ Rodziewiczówny sam sobie wystawił mały panteonik zasługi”.

Problemy bohaterów utworów romantyczno–

ożytywistycznych bliskie są sprawom, które dotyczą współczesnego człowieka. Znow „praca u podstaw”,

„praca organiczna”, praca na własny rachunek, prywatyzacja itp. — to hasła popularne i aktualne.

A ponadto wszystkie te treści podawane są w książkach ulubionej autorki i pięknie, i przystępnie, nie sięgają pesymizmu, który zewsząd nas zalewa: z radia i telewizji, prasy i kaset video, pełnych wiadomości i przykładów okrucieństwa, bandytyzmu, gwałtów, przemocy...

** * **

„Czarny bóg. Nowela na tle życia nihilistów” należy do wcześniejszych utworów Marii Rodziewiczówny. Jak wiele powieści tej autorki — zgodnie z ówczesnym, powszechnym

prawie zwyczajem — drukowana była w 1891 r. na lamach lwowskiej „Gazety Narodowej”. Pierwodruki takich powieści, jak: „Barcikowscy, „Czarny bóg”, „Pożary i zgliszcza” wydawane były w Galicji pod pseudonimem Zmogas. Miejsce druku i ukrycie nazwiska pozwoliły autorce na przedstawienie spraw patriotyczno–

narodowych w sposób nieskrępowany. Powieści te pełne są więc aktualnych odnośników i relacji polsko–rosyjskich /na inne nie pozwoliłaby z kolei cenzura austriacka/. Podstawę niniejszego wydania stanowi nadbitka z „Gazety Narodowej”. Egzemplarz stanowiący wzór niniejszego wydania, oprócz tytułu: „Czarny bóg”, podtytułu:

„Nowela na tle życia nihilistów” i informacji: „Odbitka z

»Gazety Narodowej«, zawiera miejsce wydania: Lwów 1892 i informację o wydawcy i drukarzu: „Nakładem wydawnictwa »Gazety Narodowej« i Drukarni Pillera i Spółki.

Wydawca uporządkował tekst i kolejność rozdziałów, dodane fragmenty podając w kwadratowych nawiasach.

** * **

W wydaniu niniejszym zrezygnowaliśmy z podtytułu.

Rodziewiczówna nie rozróżnia nihilistów, anarchistów, socjalistów. Najbardziej współczesne adekwatne określenie środowiska, o którym pisze autorka „Czarnego boga”, kryje się nazwą: „rewolucjoniści”. Nie знаła jednak tego hasła Rodziewiczówna. Postanowiliśmy zatem zrezygnować z całego podtytułu. Anna Martuszevska, zgodnie z obowiązującym modelem w PRL–u tendencją 161

pisze, że Rodziewiczówna stworzyła „tendancyjnie skrzywiony wizerunek rosyjskiego nihilizmu”. W innym zaś miejscu, omawiając powieści: „Na wyżynach” i „Czarnego boga”, pisze: „Robotnicy stanowią jednak »nikczemny«

czy też »słaby« tłum, nie rozumieją swego, dobroczyńcy, odwracają się w momencie pierwszej porażki od niego i głoszonych przezeń chrześcijańskich ideałów. Bardzo podobny i równie fałszywy — obraz ludu, będącego

»tłumem gawiedzi«, »mrowiem znikczemniałym, podłym, niewolniczym«, który odwraca się również od walczących w jego imieniu nihilistów rosyjskich, daje Rodziewiczówna w »Czarnym bogu«,.. W innym zaś miejscu (w rozdziale

„Upraszczenie struktur”) stwierdza Martuszevska u Rodziewiczówny „obawę przed socjalizmem”, pisząc m.

in.: „Najbardziej jaskrawo zjawisko to występuje w powieści »Czarny bóg« (1891): posiadający mimo wszystko wiele cech pozytywnych bohater, nihilista narodowości rosyjskiej (zwany też w narracji socjalistą, autorka widać nie dostrzega różnicy między anarchizmem a socjalizmem), imieniem Gregor, obrzucony błotem przez

»lud«, w imię którego zabił generała żandarmerii, przeżywa to ciężko /.../. Robotników czy chłopów jako

»tłuszczę«, wśród której istnieją tylko zabobony, ciemnota, nędza, pijaństwo, upodlenie sięgające aż do zbrodniczości, etc. w analizowanych powieściach spotykamy kilkakrotnie /

.../»•

Warto sięgnąć i po te powieści Rodziewiczówny.

Obecnie bez żadnych ograniczeń możemy podchodzić do utworów krytykujących ruch robotniczy, jego samozwańcych „nauczycieli” i „wybawicieli”, demagogów walczących o władzę przy pomocy „gniewu mas”,

tych

„tymczasowych”

demokratów,

162

wprowadzających w taki czy inny sposób dyktaturę, natychmiast po osiągnięciu zamierzonych celów. W takim ujęciu również współcześnie niektóre wątki powieści Rodziewiczówny uzyskują aktualność.

Cała twórczość pisarki z Polesia oczekuje na rzetelne badania krytyki i przewartościowanie ocen.

163

SPIS TREŚCI

[I] Nowy Rok

II Werbunek

III Pierwsza próba

IV Nowicjat

V Stary i młody Glebow

VI Hodują się kąty miast mędrców

[VII] Przeciwnicy idei

[VIII] [Tajemniczy lekarz]

IX Samobójstwo i mord

X [Wziął od ludu nagrodę]

XI [Morderca i ulicznica]

XII [Zapomnę, że to moja ojczyzna]

164

Serdeczne podziękowania należą się współtwórcom opracowania redakacyjnego „Czarnego boga” oraz postowia: dr Józefowi Dużykowi z Polskiej Akademii Nauk w Krakowie i mgr Stanisławowi Kaszyńskiemu z krakowskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Tadeusz Skoczek

165

Document Outline

- ??
- ??
- ??
 - ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
 - ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??

Table of Contents

*1
u!*
flot*
!*
nt*
??